ROK III. — Nr. 26. Cena 35 groszy Nr. 5. — 1924.

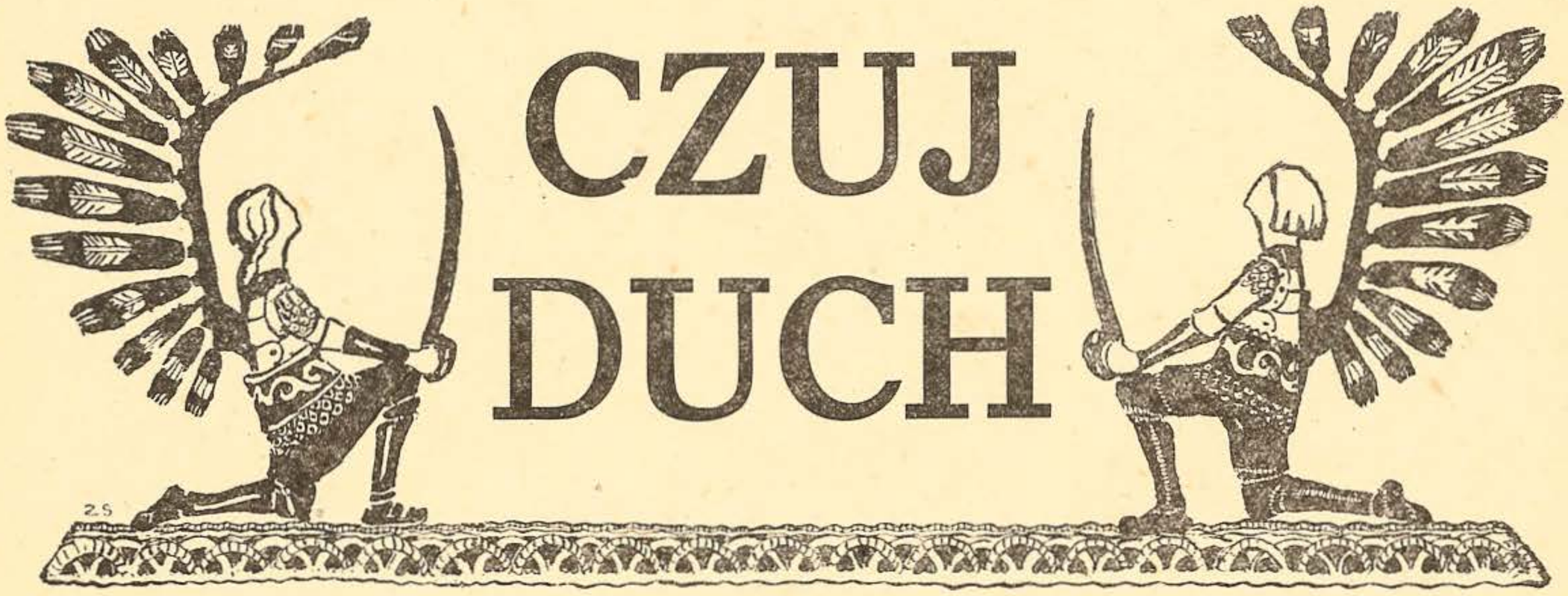

CZUJ DUCH

POZNAŃ | MIESIĘCZNIK MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ | MAJ

Jak to będzie na Zlocie...

W obozie.

Będzie pięknie, miło, bratersko, gościnnie, harcersko. Wszystkie nieuniknione kłopoty, niewygody i trudy nie groźne będą w tej atmosferze zespolenia się duchowego w jedną zwartą gromadę. Rycerskość, uprzejmość, usłużność, grzeczność dla każdego na każdym kroku i szukanie sposobności do przyjacielskiej usługi przenikną wszystkich, nawet wszystkie niesforne żółtodzióby ulegną tej epidemji harcerskiej.

Pora już jednak ostatnia myśleć o tem, aby ten duch godne miał mieszkanie, trzeba się przygotować do urządzenia obozów drużyn, Chorągwij i całości. Każdy uczestnik coś tu musi dać z siebie, ze swej głowy i ze swej pracy.

Namioty przyozdobimy rysunkami (tylko własne namioty!), kilimami, krajkami ludowemi, różnemi wyrobami własnemi i charakterystycznemi dla okolicy, fotografjami, pocztówkami (przywieziemy ich zapas dla ofiarowywania gościom zagranicznym i wymiany z innemi drużynami). Przed namiotami umieścimy godła, totemy (pamiątki o motywach starosłowiańskich i ludowych!) Szczególną troskliwością otoczymy maszt sztandarowy Chorągwi: przywieziemy zapewne chorągwie, które wywieszaliśmy w obozach, te „weteranki" ozdobią liny, podtrzymujące maszt Chorągwi. No, wiele już jest, snuje się bogate pasmo dalszych pomysłów...

Trzeba, aby każdy szczegół, każda czynność nasza w obozie dążyła do osiągnięcia formy celowej, pięknej zarazem. Modlić się będziemy przed figurą czy ołtarzykiem, który zawczasu przygotujemy i przywieziemy. Posiłki jeść będziemy całą drużyną, czy w gościnie u innych drużyn, ale zawsze przy stole obozowym. Nie zobaczy nikt samotników rozwalonych gdzieś po kątach obozu z chmurną miną, żujących twarde dary kuchni obozowej. Unikać będziemy ciągłych hałaśliwych, a ślamazarnych zbiórek. A już wieczorem, gdy ogniska zapłoną, drużyna ponad drużyną, Chorągiew ponad Chorągiew wynosić się będzie, aby się zdobyć na piękniejszy obrzęd przy ognisku.

Kilka słów zagajenia gawędy, a potem przyjacielska rozmowa o przeżyciach, o planach, o lepszej służbie dla Polski. Przed gawędą, czy po niej śpiewy, więc staropolskie, więc ludowe piosenki, trzeba tylko, aby ktoś o tem zawczasu pomyślał, przygotował program piosenek i teksty odbił, aby się w obozie choćby można było nauczyć. A potem chwila spoczynku. W zupełnej ciszy każdy myślą przebiega dzień zapadający w przeszłość i na jutro robi postanowienie. Trąbka na modlitwę... cały obóz śpiewa a „Bóg jest tuż" z dziećmi Swojemi, co kornie ofiarowują Mu modły za Ojczyznę, za ludzkość, za spełnienie Jego woli na ziemi i w niebie.

Czasem zamiast gawędy — jakiś popis, tańce, czy obrzęd ludowy, krótkie przedstawienie, czytanie gazetki pisanej — jak w zwykłym obozie drużyny. Na wszystko zaprasza się gości z innych drużyn, z innych Chorągwij — przy ogniskach zupełne „pomieszanie narodów" ale ład, ale porządek pod wodzą gospodarza — drużynowego czy komendanta Chorągwi.

Trzeba też pamiętać o przeglądzie i pochodzie przez miasto. Środowisko każde powinnoby mieć tablicę z napisem — dobrzeby było, aby to była piękna tablica, z herbem, zdobiona — ale i zwykła prosta będzie lepsza niż żadna. Wartoby też mieć godła sprawności, na drążkach, w dużym formacie. Oczywiście takie godła niesionoby tylko w dru-

archiwum

żynie, które mają swych „poddanych" z kilku przynajmniej harcerzy. Sztandar lub proporczyk — zapewne każda drużyna na Zlot się wybierająca przyniesie. A przeczytajcie sobie o tem przepisy w majowym numerze „Wiadomości Urzędowych Naczelnictwa"!

Fatalnie wygląda, gdy chłopcy — jeszcze gorzej, gdy dziewczęta — maszerują sztywnym krokiem, zapomniawszy języka w ustach i wytrzeszczywszy przerażone oczy. Harcerska defilada odbywa się zwykłym, spokojnym krokiem — byle równym — choć i tu mogą być wyjątki. Lepiej, jeśli najmłodsi idą na czele (wtedy trudniej utrzymać krok, ale za to nie męczy się najmłodszych wyciąganiem nóg według miary olbrzymów). Mam nadzieję, że wszyscy już dziś zrozumiecie, że najpiękniej się defilada nasza uda, jeżeli każda drużyna jakoś inaczej, bardziej pomysłowo będzie starała się ją urządzić. Więc może kto w ludowych strojach wystąpi, może kto inny zorganizuje orkiestrę harmonijek, grzebieni i t. p.; inna drużyna wystąpi konno czy na rowerach, inna z przyrządami strażackiemi. A której już innego pomysłu nie starczy — wsadzi choćby młodszych na starszych i taką zrobi „konną marynarkę".

Może ktoś będzie, „krakowskiem weselem", może kto inny cygańskim taborem, może ktoś jakąś scenę czy postaci historyczne odtworzy.

Przerażają się dusze Wasze, dostojni mężowie od regulaminu musztry na te herezje — ale śmieją się z Was harcerze i

Arcykot.

Jak Wieloryb żeglował po jeziorze?

(Z konkursowych obrazków harcerskich).

Dość późną jesienią 1922 roku wybrałem się do krewnych w Poznańskie. Miasteczko, w którem oni przebywają leży nad dużem i pięknem jeziorem. Gdy stanąłem po raz pierwszy na jego brzegu i ujrzałem szeroką, błękitną, na zbudzonych lekkim powiewem zmarszczkach i ślnącą się słońcem taflę, kończącą się dopiero na samym skraju horyzontu i oddzieloną od niej mniej idealnie błękitnego jak ona bezkresu niebios jedynie wąską smugę ginących w liljowowej dali wzgórz, zapragnąłem stanowczo móc dostać się łódką na środek jego błękitnej powierzchni, bez troski pobujać się na jego lekkiej, wesołej, słodkiej fali, odetchnąć pełną piersią śródjeziornem powietrzem i spenetrować, jak wyglądają z bliska pociągające mimowoli wyobraźnię widniejące na przeciwległym brzegu liljowe wzgórza. Nie było jednak rzeczą łatwą urzeczywistnienie tych wszystkich zamiarów, gdyż głowa spokrewnionej ze mną rodziny, u której przybywałem w gościnie, od którego sprawa wzięcia przezemnie na użytkowanie kołyszącej się majestatycznie przy mostku na brzegu jeziora pakownej łodzi zależała bez zastrzeżeń, bał się głębokiej wody nietylko w swojem, ale i w mojem imieniu i wręczenia mi klucza stojącej na przeszkodzie objęciu przezemnie władzy nad łódką kłódki kategorycznie odmawiał. Ostatecznie udało mi się jednak wszystkie pszeszkody przełamać i wreszcie pewnego południa, wraz z dwoma kuzynami, którzy mieli ze mną dzielić trudy i niebezpieczeństwa podróży, objuczony niezbędnym w niej ekwipunkiem (dwa wiosła całe, jedno wzięte zamiast bosaka ułamane do połowy, ster i czerpak do wody) ruszyłem trjumfalnie na brzeg jeziora.

Pogoda tego dnia nie była idealną. Z przeciwległego brzegu jeziora wiał ku nam tęgi, jędrny wiatr, niosący ze sobą świeżą i mocną woń słodkiej wody. Gęsty las żółkłych oczeretów, zwartą ścianą otaczający wąską zatoczkę, w której ukryta była łódź, równym rytmem kołysał się pod naporem wiatru, sypiąc drobne zielonkawe łuski ze swych puszystych kit i ożywiając powietrze dźwięcznym, metalicznym szelestem. Na jeziorze musiała być duża fala, gdyż z poza zalomu porośniętej trzciną płyciny, zasłaniającej nam widok na pełną wodę wybiegały liczne, pod kątem widać od głównych wałów odbite, energiczne grzebyki wody, niosące ze sobą spore bryły puszystej, żółtawej piany. Tuż przy wylocie zatoki kołysało się na wodzie jakieś puszyste, srebrnopióre ptaszysko wodne, nieznane mi niestety z nazwy, z głową ukrytą w opierzeniu zażywające drzemki. Na odgłos jednak naszych kroków zbudziło się i w oka mgnieniu dało błyskawicznego nura pod wodę, na niespokojnej powierzchni nie zostawiając po sobie nawet śladu.

Odczepiliśmy łódź od kładki i usunąwszy z niej nagromadzoną na dnie wodę deszczową przyszykowaliśmy się do odjazdu. Ja i jeden z kuzynków usiedliśmy do wiosel, drugi kuzynek zasiadł przy sterze. (Dla informacji muszę dodać, że obaj moi kuzynkowie dopiero po raz pierwszy w życiu wyjeżdżali łódką na większą wodę, to też wyobrażenia ich o sztuce wiosłowania i sterowania były dość zielone). Odepchnęliśmy się mocno od kładki i zlekka się kołysząc przesunęliśmy się aż do wylotu naszej osłoniętej przez trzciny zatoczki. Natychmiast uderzyła nas w burtę mocna jeziorna fala, skrapiając nas bryzgami wody i kołysząc gwałtownie naszą łodzą. Kuzynek przy sterze, młodzieniec miękiego serca, w jednej chwili dał się opanować uczuciu lęku i oświadczył stanowczo, że na pełną wodę nie pojedzie. Nie mając szans do prowadzenia pertraktacyj do bardziej pomyślnego wyniku zgodziłem się dość łatwo na to, że pojedziemy narazie wzdłuż brzegów. Obróciliśmy więc łódź i wziąwszy wiosła krepko w garść wparliśmy się niemi mocno w prężne grzbiety fal. Ponieważ wiatr szedł do brzegu ukosem, a fala uderzała o wybrzeże pod kątem niemal 90°, stopni, szliśmy mniejwięcej prostopadle do fali i sunące przeciw nam krótkie, ciężkie wały gładko rozcinaliśmy dziobem. Jechaliśmy dość szparko naprzód, i wybrzeże, to odsłonięte, zieloną runią pastwisk spełzające w prost do wody, to znów zakryte ścianę szumiących, żółkłych trzcin przesuwało się przed nami jak w kalejdoskopie. Od czasu do czasu zatrzymywaliśmy się w celu wypoczynku, pozwalając się swobodnie kołysać spokojniejszej tu przy brzegu i mniej rozbujanej fali i obserwując białe, zwinne czajki, szybujące niespokojnie w powietrzu, to znów rzucające się z dzikim wrzaskiem pod wodę, lub kołyszące się na fali. Kuzyn przy wiośle okazał się wcale niezłym i pracowitym wioślarzem, a nawet i lękliwy sternik rozochocił się i nabrał do wody zaufania. Po paru godzinach jazdy przybyliśmy wreszcie do kresu podróży, mianowicie do miejsca, gdzie wybrzeże wyginało się pod kątem prostym, zamykając nam dalszą drogę, gdzie zatem jezioro się kończyło. Wiatr, spełzający z za wzgórz i wdzierający zię na szerokie przestrzenie jeziora właśnie w tem miejscu, zaczynał tu dopiero podnosić falę, którą potem — wciąż przybierającą w wysokości i wadze — gnał na przeciwległe wybrzeża. To też w miarę, jak zbliżaliśmy się do wyroslego nam przed dziobem wybrzeża, fala przekształcała się w drobne, bezsilne grzebyki wodne, potem w lekkie zmarszczki, i wreszcie zanikła zupełnie. Na gładkiem błękitnem zwierciadle panoszyły się hałaśliwe i niechlujne stada swojskich gęsi, pochodzących z rozłożonej na brzegu zamożnej wsi, które gdyśmy pomiędzy nie wjechali zerwały się nagle jednomyślnie i z przeraźliwym wrzaskiem rzuciły do panicznej, częściowo pływackiej, częściowo lotniczej ucieczki.

Wyciągnęliśmy łódkę na brzeg i usiedliśmy na murawie, aby nieco odpocząć. Przyszła mi nagle genjalna myśl do głowy. Postanowiłem z posiadanych przez nas płaszczy uczynić żagiel i korzystając z silnego wiatru zażyć przejażdżki żeglarskiej. Zwierzyłem się ze swym projektem obu kuzynkom, oni jednak odnieśli się do niego sceptycznie, nie wierząc w możliwość jego zrealizowania. Zgodzili się pomimo to na uczynienie próby, gdyż bądź co bądź perspektywa powrotu do domu bez użycia wioseł uśmiechała im się również.

Aby powzięty projekt urzeczywistnić, musieliśmy pojechać jeszcze koło pół kilometra przy pomocy wiosel, aby potem wracać nie tak jakeśmy przyjechali wzdłuż samego brzega, a po przekątnej, na wolnej przestrzeni jeziora. Wobec braku fali na osłoniętem wzgórzami od wiatru wybrzeżu w krótkim stosunkowo czasie podjechaliśmy na upatrzone miejsce i odsunąwszy się na kilkanaście metrów od brzegu rozpoczęliśmy przygotowania do żeglugi. Posiadany w zapasie ułamany kikut wiosła umocowaliśmy w otworze ławki jako maszt i zdjąwszy z siebie dwa płaszcze (jedno moje, drugie drugiego wioślarza, oba z grubego sukna) połączyliśmy je w jedną, dużą choć nieszczelną płachtę, zapinając dziurki jednego z nich na guziki drugiego i przy pomocy jednego z wieszadeł, zaczepionego o pęknięcie w zaimprowizowanym maszcie, umocowaliśmy je do tego ostatniego. My obaj, zwolnieni obecnie od pracy wioślanej usiedliśmy twarzą do sternika na tej samej ławeczce, z której wykwitał naszt i wziąwszy końce naszego żagla w skrajnę prawą i skrajnę lewą z naszych czterek rąk, zaś rozchylający się środek, gdzie się oba palta schodziły przytrzymując rękami wewnętrznemi wyprężyliśmy ramiona tak, że żagiel nasz utworzył sporą, naprężoną i względnie szczelną powierzchnię. Aniśmy się obejrzeli, jak wiatr, tem mocniejszy im dalej byliśmy od brzegu napełnił żagiel, który pomimo swej grubości i wagi załopotał i zatrzaskał tak, jak to wszystkie żagle na dobrym wietrze zwykły czynić, a brzeg zaczął się szybko oddalać.

Łódź nasza wzięła dobry rozpęd i rytmicznie prując fale, pochylona zlekka pod naporem uginającego maszt wiatru pomknęła żwawo naprzód. Chociaż było mi zimno bez palta i wyprężone ramiona, podtrzymujące żagiel i niepozwalające na zmianę pozycji zaczynały cierpnąć, czułem się bajecznie. Przedewszystkiem ogólna sytuacja prezentowała się bardzo przyjemnie i interesująco — (zimny wiatr — coraz groźniej wzdymająca się fala — samotna łódka, mknąca po nieznanym szlaku przez szerokie, spienione wodne rozłogi — wieczór nadchodzi, a droga daleka — skrzypi maszt i trzaska na wietrze naprężony żagiel) — następnie byłem rad radością twórcy i inicjatora z udania się całego żeglarskiego przedsięwzięcia, pozatem nie była mi również niemiłą myśl o tem, jaką minę zrobi ten, kogo tak długo bezskutecznie prosiłem o udzielenie mi klucza od łódki, gdy zobaczy przez okno, z jakim szykiem wracamy z wycieczki, wreszcie miłą i pouczającą rozrywkę stanowiła obserwacja wyraziście rysującego się na tle niebios tuż przed mojemi oczyma sternikowego oblicza, na którem widniała najpierw beztroska i ukontentowanie, spowodowane przyjemną podróżą, następnie, w miarę jak kołysanie zaczynało się wzmagać, lekki, maskowany brawurą niepokój, potem niepokój mniej lekki i gorzej maskowany, a w końcu najbezwstydniejszy, zgoła żeglarzowi nie przystojny strach.

Po upływie pewnego jednak czasu zauważyliśmy, iż żeglując ku widniejącej w oddali grupie domów, według których orjentowaliśmy się co do położenia naszej przystani, zmuszeni jesteśmy wbrew początkowym przewidywaniom jechać nie zupełnie równolegle z biegiem wiatru i kierunkiem fali, a odchylać się od nich pod nieznacznym kątem. Nie wiem, czy źle obraliśmy punkt wyjścia naszego żeglarskiego raidu, czy wiatr zmienił kierunek, czy też może dzięki nadbrzeżnym wzgórzom prąd powietrzny wogóle się tu załamywał, dość, że chcąc jechać do domu, zmuszeni byliśmy przy pomocy steru korygować nadany nam przez nieruchomy żagiel kierunek i zgodzić się tem samem na rozpoczęcie początkowo nieznacznych, potem coraz bardziej silnych kołysań bocznych. Wobec tego jednak, że my dwaj musieliśmy bez przerwy trzymać żagiel, przytrzymanie się należytego kierunku zależnem było całkowicie od woli i umiejętności naszego sternika, który, ogłupiony strachem utracił i ten mizerny zaczątek kwalifikacji zawodowych, jaki wogóle posiadał. Gdy wreszcie jakiś nieco większy bałwan przelał się po raz pierwszy przez burtę, zalewając nas pianą i bryzgami wody, oświadczył nagle, że kołysaniom bocznym pod żadnym warunkiem nie będzie się nadal poddawać, a pojedzie, nie zważając na to, jakie to pociągnie skutki zupełnie zgodnie z kierunkiem wiatru. Byliśmy wobec niego bezsilni i nic nie mogliśmy na to poradzić, że wypatrywana z utęsknieniem grupa domów zamiast na wprost dzioba zaczęła nam się ukazywać coraz bardziej z boku. Prawdziwa rozpacz ogarnęła nas wreszcie, gdy odbiegłszy zupełnie od pierwotnego kierunku, na potężnie już rozbujanej fali przedefilowaliśmy w odległości paru stajań obok celu naszej podróży i pozostawiliśmy go poza sobą.

Grupa zabudowań, do którychśmy zmierzali, znajdowała się na pewnego rodzaju szerokim, przysadzistym półwyspie, poza którym jezioro znowu zalewało się szeroko. Jechaliśmy już teraz zupełnie bez określonego celu — aby się tylko gdzieś dostać do brzegu, do którego obecnie naprawdę jedynie razem z wiatrem mogliśmy się posuwać, bo przy tutejszej fali kołysania bocznego łódka nasza jużby oczywiście wytrzymać nie mogła. Miotaliśmy się na fali jak opętani, — byliśmy już zlani wodą i dosłownie dygotaliśmy na całem ciele, zarówno z emocji, jak z zimna. Żagiel, którego nie mogliśmy puścić, nie chcąc, by nam fala natychmiast wywróciła łódkę, pozbawioną popychającej ją w stałym kierunku własnej siły naprężył się tak mocno, że ledwie mogliśmy go rękoma utrzymać. Znieruchomiałe ramiona i krzyż zdrętwiały nam do tego stopnia, iż straciliśmy w nich czucie i trwaliśmy w naszych pozycjach nieporuszeni i bezwładni, nie myśląc już o niczem innem, jak o przybiciu do brzegu.

Wreszcie ten upragniony brzeg zaczął się nam przed dziobem wyłaniać. Były to płaskie, wilgotne łąki, obecnie częściowo zalane przez wodę. Widząc więc rosnącą w oczach linję wybrzeża odzyskaliśmy poczucie tego że jedziemy, że nie stoimy w miejscu, tak jak nam się to mimowoli zdawało, gdy, wszystkie brzegi były od nas oddalona, a fala burzowała wokół nas, nie pozostawiając dla wzroku żadnego stałego punktu oparcia,

odrazu poczuliśmy się raźniej, chociaż właśnie słońce zaszło, a mieliśmy jeszcze niełada zadanie przed sobą w postaci odprowadzenia łodzi do przystani. Wreszcie poza burtą wyłonił nam się wystający z wody rzadki las sitowia i wodnych skrzypów, zgodnie przechylonych w stronę lądu i to ukazujących się nam w całej swej długości, to ginących aż po śpiczaste koniuszczki pod przechodzącemi wałami wody. Łódź nasza dała parę gwałtownych susów naprzód i wreszcie, wstrząsnąwszy się we wszystkich wiązadłach, jak wryta osiadła na miejscu. Zgruntowaliśmy.

Od terenu niezalanego wodą dzieliło nas jeszcze dobrych parę metrów, przez które łódka już się przedostać nie mogła. Opuściliśmy nasz żagiel i rozprostowawszy zdrętwiałe członki, oraz ubrawszy się w palta odpoczęliśmy przez chwilę, poczem wpierając wiosła w grunt, usiłowaliśmy się jeszcze trochę do brzegu przybliżyć. Nie udało to nam się jednak, bo okrywająca zalaną łąkę woda stanowiła warstewkę zbyt cienką, by mogła łódkę unieść. Nasz sternik, stęskniony do mocnego gruntu pod nogami; zdenerwowany nie dającą nam i tutaj spokoju falą, rozlewającą się szeroko po łące i walącą jak młotem w naszą unieruchomioną łódź, nagle zdecydowany przełożył nogi przez burtę i wskoczywszy w obuwiu do wody pogalopował do brzegu, nawet się z nami nie żegnając. Widzieliśmy go jeszcze przez chwilkę, jak biegł przez łąkę, chlupiąc po błocie mokremi trzewikami, poczem straciliśmy go z oczu.

Zostało się nas dwóch. Rozejrzeliśmy się sytuacji, zanim mrok zdążył wszystko zakryć i wzięliśmy się do dzieła. Aby dostać się domu, musieliśmy okrążyć półkolem obszerną zatokę jeziora, zatem posuwać się przez dłuszy czas wzdłuż brzegu, a więc równolegle do fali, która tutaj sunęła w walach metrowej wysokości. O wiosłowaniu wzdłuż brzegów nie mogło być mowy, gdyż pierwszy z brzegu bałwan, rąbnąwszy w burtę, byłby nam łódkę wywrócił. Zdecydowaliśmy się posuwać wobec tego zygzakiem.

Zdjąwszy ster i zabrawszy go do łódki, stanęliśmy przy obu burtach i ująwszy wiosła zaczęliśmy się niemi odpychać od gruntu i posuwać się pod nieznacznym kątem przeciw fali, ku środkowi jeziora. Odsunęliśmy się tak na kilkanaście metrów od brzegu, potem, pozwalając fali obrócić dziób łodzi, zaczęliśmy się odpychać w przeciwnym kierunku, posuwając się

archiwum

znowu do brzegu. Tym sposobem zyskaliśmy kilkanaście metrów i, trochęśmy się wzdłuż brzegu przesunęli. Pracowaliśmy dalej w ten sam sposób i w mozolnie wypracowanych zygzakach odwalaliśmy szmat za szmatem drogi. Nie była to robota łatwa. Niekiedy dziób naszej łodzi nieco się odchylał i stawaliśmy na sekundę burtą do fali. Musieliśmy wtedy, opierając się całym ciężarem naszych ciał o zagrożoną burtę i całym wysiłkiem wrywając wiosła w grunt bronić się rozpaczliwie przed wywróceniem. Niekiedy siła fali niweczyła nam naszą robotę, zmuszając do powrotu do punktu wyjścia, zamiast przesunięcia się w zręcznym zygzaku znowu o kawałek dalej. Na dnie łódki przelewała się już z miejsca na miejsce spora miarka wody, która maczała nam nogi, a pozatem i bryzgi fali zraszały nas ciągle. Niemniej jednak posuwaliśmy się wciąż wytwale naprzód i wreszcie po długiej walce okrążyliśmy zatokę na tyle, że mogliśmy siąść na ławeczkach i zacząć wiosłować.

Było już ciemno zupełnie. Huk fali, który dotąd, dopóki poraliśmy się, łódką przy brzegu wciąż dzwonił nam w uszach, tutaj ucichł całkowicie. Woda wzdymała się w głębokich, bezszelestnych westchnieniach, miarowo podnosząc naszą łódkę. Posuwaliśmy się naprzód, kołysząc się silnie i w długich susach przeskakując bezszelestnie z fali na falę. Wiatr ustał. Z pośród trzcin, których gąszcz niespodzianie wyrósł wokół nas jak tajemnicza, koronkowa ściana, dochodziły jakieś ciche, stłumione odgłosy — kwilenia, jęki i kwakania, znamienując, że toczyło się w nich całe bogate i rojne życie licznego ptasiego ludu. Każda kiść trzciny drżała, jak żywe, nerwowe stworzenie, i podmywana ociężałą falą co chwila znagła i niespostrzeżenie znikała do połowy w bezwładnie i bez szmeru sunącej masie wody.

Oddychaliśmy pełną piersią chłodnem powietrzem nocy i z mistycznem drżeniem chłonęliśmy wzrokiem i słuchem czar otaczającej nas przyrody. Szerokie rozłogi jeziora zasnuł mrok, niby czarna kurtyna, tak, że nie widząc przeciwnego brzegu, zdało nam się, że jedziemy po bezkresnem morzu. Z za załomów szarej ściany trzcin ukazywały nam się coraz to nowe odcinki naszej drogi, która zdawała się wydłużać w nieskończoność. Choć senni i zmęczeni z dziwną ciszą i rozradowaniem w sercach jechaliśmy coraz dalej i dalej... Gdyśmy przybyli do celu, była już noc zupełna.

Taką była moja pierwsza i jak dotąd jedyna samodzielna wycieczka żeglarska.

Wieloryb.

Czarny Kruk kracze...

A!... Czarny Kruk?!... Widocznie wrócił z południowych krajów, — z przelotnem ptactwem?... (Redakcja).

Kraa!.. kraa... kraa... Czuwaj!..

No! Otwórzcie dzióby kruki i kruczęta i słuchajcie! co wam krakać będzie znowu Czarny Kruk!

Dawnoście go nie słyszeli!

Nie bawił on jednak przez zimę z jaskółeczkami gdzieś w afrykańskich riwierach, nie spał też snem zimowym, — nie, — lecz latał i to sporo latał, i krakał i to sporo krakał, lecz gdzieindziej! — i tak żerując w innych okolicach, nie miał czasu zalecieć do zamku w Poznaniu, by tam zakrakać na łamach „Czuj Ducha".

Aż ci tu jakaś uprzykrzona, natrętna, nieznośna, paskudna, wrzaskliwa, uparta sojka, czy tam jakaś stara Soja[1]) pocznie mu skrzeczeć za uchem: „no! — a odezwijże się wreszcie stary!... zakracze nareszcie raz za pół roku — ty przebrzydły Czarny Kruku!...

Więc, by się pozbyć natrętnej sojki, — kraczę:

Ostatni raz krakałem Wam, moje kruczęta, z nadpopradzkich lasów, — z obozu w Piwnicznej...

Tak dawno! — W sierpniu ub. roku!!...

Przypominacie sobie może to moje krakanie? — Krakałem wam o tem, jak prowadzić pracę nad charakterem wiejskiego chłopca w wiejskiej drużynie harcerskiej.

„Tęgi obywatel kraju" — celem tej pracy!

Lecz, jakkolwiek tężyzna duchowa, silny, prawy, charakter, czerpiący swą moc z ciągłego łamania się z sobą, z ciągłej walki, jest niezbędną cechą dobrego syna ojczyzny, to jednak nie jest cechą jedyną!

Tęgi duchowo obywatel — musi odznaczać się również tężyzną fizyczną.

Cóż bowiem może zdziałać człowiek zacny, człowiek — idealista, człowiek zapału, człowiek pracy, jeżeli te ideały, te cnoty, te zamiary, tę chęć oddania się, oddania swych sił, swego życia Ojczyźnie, bliźnim... nosi w wątłem, powoli zamierającem może ciele, w słabem sercu?...

Tężyzny fizycznej, stalowych nerwów, „końskiego" zdrowia trzeba temu, kto chce — służyć wiernie Ojczyźnie, dla niej sumiennie spełniać wszystkie swoje obowiązki!..

I stąd płynie obowiązek: w pracy naszej harcerskiej nie zaniedbywać wychowania fizycznego!

Harcerstwo — gdy chodzi o ten dział pracy nad młodzieżą — zadanie swe spełnia!

Mustra, gimnastyka, sporty, szermierka, lekka atletyka, wycieczki, życie obozowe, pionierka — racjonalnie uprawiane przez młódź harcerską — muszą przynieść pożądane owoce!

Pod tym względem harcerstwo jest świetnym lekarzem dla anemicznych, na niedorozwój fizyczny cierpiących chłopców, w mieście żyjących.

Lecz zachodzi pytanie, czy i o ile należy ten dział pracy uwzględnić w drużynach wiejskich?

Wszak chłopiec wiejski, żyjący nie w zatęchłych murach, ale na łonie natury, oddany przez swą pracę fizyczną ciągły ćwiczeniom mięśni, toć to wcielone zdrowie! Jemu już chyba nie potrzeba musztry, gimnastyki czy sportu!

Tak dobrze jednak nie jest, jak się zdaje!

[1]) dh. Soja sekretarz. red. „Czuj Ducha".

archiwum

Dziś i między ludność wiejską zakradły się różne choroby, które tą ludność fizycznie osłabiają. Anemja, suchoty są dziś częstym gościem naszych wiosek. — Dziś już trzeba czasem dobrze szukać i na wsi, nim człek znajdzie nie „bladą twarz" — lecz rumieńcami tryskającą, czerstwą, zdrową!

Dalej: chłopiec wiejski jest przeważnie „małoruchowy", ociężały. Dużo o tem mogliby powiedzieć ci, co ćwiczą nowozaciężnych rekrutów w wojsku.

Nadto: chłopiec wiejski jest mało zgrabny, mało bystry, spostrzegawczy... A wszystkie te „cnoty" mogą ćwiczenia cielesne w dużej mierze wyrobić!

Dla tych powodów — praca harcerska na wsi nie powinna pomijać i wychowania fizycznego, — tembardziej, że praca ta nie napotyka na większe trudności, a młodzież szalenie nęci!

Lecz co jej dać z tej pracy?

Przedewszystkiem mustrę! — Zaimponuje ona chłopcom zrazu, lecz potem, gdy się jej nieco poduczą, będą ćwiczyć niechętnie. Dlatego z początku ćwiczyć trzeba dużo i starać się osięgnąć jak najlepsze wyniki — czyli ćwiczyć tak długo, aż drużyna nabierze — że się tak wyrażę — rutyny! Przyczem należy uderzyć w ambicję chłopców — mówiąc im o ewentualnych publicznych występach i t. p. Gdy drużyna nabierze wprawy w mustrze — ćwiczyć tylko pięć lub dziesięć minut na zbiórce.

Gimnastykę szwedzką młodzież wiejska lubi, chętnie, bardzo chętnie ćwiczy na przyrządach.

Gry ruchowe, zwłasza piłka nożna są szaloną przynętą dla chłopca wiejskiego. Również „tamborino", pięstówka, palant cieszy się sympatją harcerza wiejskiego.

W hufcu moim każda drużyna ma swój „sprzęt sportowy", składający się z piłki nożnej, pięstówki, 2 piłeczek tamborinowych, jednej piłki do palanta, tyk do tamporina, chorągiewek i t. p.

Może niejednego harcerza-instruktora zaciekawi, sposób zaopatrzenia drużyny w te przybory tanim kosztem. Służę „receptą".

Piłkę nożną oczywiście kupiłem „za gotówkę".

Pięstówkę „sfabrykowałem" sam. Kupiłem dętkę" (po polsku: „szlauch") Nr. 5, z grubego płótna uszyłem duży pokrowiec, większy od największej piłki nożnej i pięstówka gotowa.

Piłeczki tamborinowe i palantowe również musiałem kupić.

Do tamburina — jak wiadomo — potrzeba tyk, wysokich 4 metry. 3 metry nad ziemią wiesza się na nich taśmę. Nadto każdy gracz ma mieć „bębenek" obsiągnięty skórą. Oczywiście, że dziś jest to rzecz kosztowna i trudno nawet nabyć. Po całym Krakowie ślepiłem mojem kruczem okiem za bębenkiem do tamburina i nie znalazłem!

I cóż było robić! Kazałem moim harcerzom porobić sobie okrągłe łopateczki z desek — z rączką — coś w rodzaju rakiety. Zrobili je ze zapałem — i tamburino nieco zmodyfikowane (w użyciu „bębenków") „odchodzi" wesoło!

Do wytyczania boisk do gier potrzeba chorągiewek. Zakupiłem kilka metrów najgorszego płótna t. zw. „surówki", pociąłem na chorągiewki, harcerzom kazałem przynieść po „kołku" wierzbowym odpowiedniej wysokości i rzecz gotowa.

Nawet pałki do palantowej piłki czyli „palanty" sami wcale dobrze wystrugali z drzewa brzozowego lub grabowego.

Tak zdobyliśmy bardzo obfity sprzęt sportowy, przy małem obciążeniu kasy.

Pionierki, życia obozowego nie próbowałem wprowadzić jeszcze w mej pracy dotychczasowej z powodu braku odpowiedniego sprzętu technicznego.

Szermierka, czy palcaty również zajmują chłopców wiejskich.

Lekka atletyka nie cieszy się jeszcze zamiłowaniem u moich niegowickich zuchów.

Mam zamiar spróbować jej tego lata. O wynikach mej próby nie omieszkam Wam zakrakać.

Sądzę, że to, co Wam dziś opowiedziałem, wystarczy! Spróbujcie tylko te spostrzeżenia wykorzystać, a wiele popchniecie pracę harcerską na wsi!

Kończę krakanie!

Myślę, żem dość nakrakał i paskudne ptaszysko Soja przestanie mię dręczyć przynajmniej przez miesiąc!

Kraa... kraa... kraa...

Czuwaj!

Czarny Kruk
podharcmistrz Z. H. P.

Niegowić ad Bochnia (Małopolska), 4. 4. 1924.

P. S. Przepraszam Wszystkich tych Druhów, którzy do mnie w ostatnich miesiącach zwrócili się listownie z prośbą o informacje o pracy harcerskiej na wsi, że im nieodpisywałem. Skutkiem nawału zajęć nie jestem w stanie odpisać na liczne listy. Dlatego stale, co miesiąc będę nadal umieszczał w „Czuj Duchu" swe „Krakanie"— a tak Druhowie poznajomią się z memi spostrzeżeniami i doświadczeniami! *Cz. Kruk.*

Stef. Łoś.

Fanfary.

(na nutę: „Piechota, piechota")

Las gra nam fanfary, zielony nasz strój
Nie błyszczą na piersiach pancerze...
My w życie idziemy bezkrwawy bój!
Harcerze, harcerze, harcerze!...
Sen cudny o szpadzie śni się nam wciąż
I dawni pancerni rycerze...

W potrzebie staniemy jak jeden mąż.—
Harcerze, harcerze, harcerze!..
I bronić będziemy rodzinnych miedz,
My w służbie Ojczyzny żołnierze,
Bo w boju za wolność lec
Harcerze, harcerze, harcerze!...

Lasso czyli łowy arkanem.

„Lasso" nie oznacza nazwy przyrządu, lecz rzut liny w określony sposób. Z sztuką tą zapoznali mnie bracia-skauci francuscy w czasie mego pobytu w obozie dla instruktorów w le Meux de la Croix St. Ouen.

* * *

Błędne jest mniemanie, jakoby „lasso" narodziło się wyłącznie w Ameryce.

Nasi rycerze kresowi posiadali tę umiejętność, przejętą od Tatarów. Stąd też użycie nazwy „arkan" (lina z pętlą) jest dla nas dużo właściwsze. Łapanie na arkan nie jest rzeczą trudną, lecz trzeba wytrwale ćwiczyć, aby się tego nauczyć.

Dlatego też podaję kilka rysunków, aby słowa moje były zrozumiane.

Rysunek 1-szy przedstawia „postawę zasadniczą". Jest on dość wyraźny, aby nic więcej nie tłomaczyć. (Weź linę i przećwicz!)

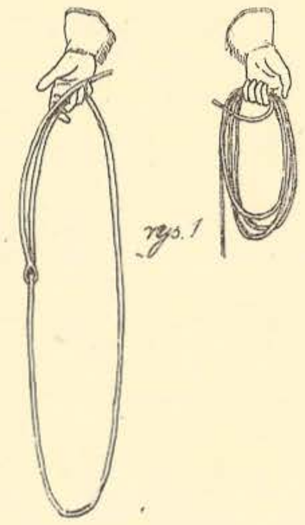

Rysunek 2-gi podaje w jaki sposób należy kręcić arkanem, aby nadać pętli ruch i kierunek pożądany w momencie rzutu. Okręcając pętlę nad głową (jak na rysunku) należy pamiętać: a) że pętla winna być możliwie otwarta i nie może się plątać czy skręcać, b) pętlę należy okręcać nad głową utrzymując ją w jednej płaszczyźnie z centrum zataczanego koła, c) płaszczyzna koła winna być o tyle ukośna (pod kątem ostrym do ziemi), aby część ruchomego koła zwróconego do celu na który zarzucić chcemy arkan, była wyżej od celu. W momencie gdy lina zdradza „chęć" skręcenia się (plątanie się pętli i t. p.) zaleca się ruchem palca przywrócić równowagę. Również w chwili rzutu takiż ruch jest nieodzowny. Wreszcie między prawą ręką (pętla) i lewą (zapas liny) nie powinien być zbyt długi kawałek liny, gdyż lina łatwo wtedy okręca się wokoło rzucającego arkan.

Jak ręka prawa wyrzuca linę, a jak lewa zwalnia zapas liny — są to wszystko rzeczy, których nie można opisać, ale których prędko nauczycie się sami. Aby opisać ruch arkanu od „pozycji zasadniczej" aż do chwili gdy pętla spada na ofiarę i zacieśnia się — trzebaby zużyć cały numer „Czuj Ducha".

Próbujcie! Oto wszystko!

Inny sposób rzucania pętli polega na tem, że pętli nie okręca się nad głową, lecz wprost z ziemi zarzuca

się ją na cel — jak to dokładnie wskazuje rysunek 3. Tego rodzaju rzut jest używany przy łapaniu zwierząt, np. konia, gdyż jest nieoczekiwany i nie potrzebuje wstępnych ruchów.

Z kolei pogawędzimy o tem, z czego się arkan robi.

Najlepsza jest lina pleciona w specjalny sposób. Mamy nadzieję, że C. K. D. H. w Warszawie będzie kiedyś posiadała gotowe dobre arkany, sporządzane według wzoru sprowadzonego z Anglji. Tymczasem jednak możecie się posługiwać dowolną liną, dobrze skręconą, gładką, mocną, grubości palca u ręki, a długości 12—15 metrów. Na jednym końcu umocować należy metalowe kółko w małej pętli — jak wskazuje rys. 1. Drugi koniec należy zakończyć jak zwykłą linę — sposób podaje „Książeczka Harcerza" na str. 118 rys. 15.

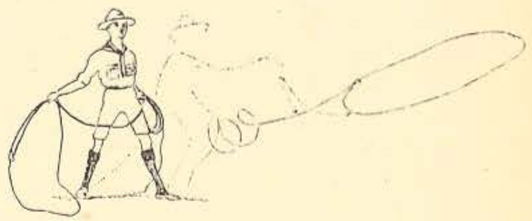

rys. 3.

Przy ćwiczeniach najlepiej posługiwać się manekinem ze słomy. Nie posługuj się belką, czy małym masztem lub słupem — to nie jest warte zabiegów, gdyż wprowadza w błąd oko i rękę. Cel przy ćwiczeniach musi być możliwie zbliżony do waszych własnych rozmiarów.

Można posługiwać się kolegą pod warunkiem, że włoży kapelusz i zasłoni twarz rękoma, gdyż łatwo o bolesne obrażenia. Zarzucając pętlę trzeba się

archiwum

starać, aby zaciągała się ona dopiero w pasie waszego manekina. Nigdy nie należy łapać ludzi bez uprzedzenia, zwłaszcz biegnących, a ćwiczenia z żywym celem winny odbywać się w obecności drużynowego.

A więc — próbujemy rzuty.

O radości! Oto udało się wam zarzucić pętkę na szyję „ofiary"!... Co teraz robić? Ćwiczymy w sposób następujący. Lina zwisa spokojnie między wami dwoma

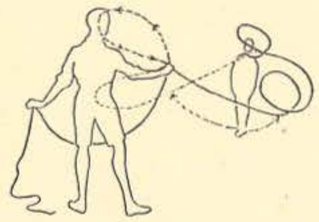

rys. 4.

nie dotykając ziemi. Nadajcie jej prawidłowy ruch wahadłowy (w prawo i w lewo) i w chwili gdy lina dostatecznie przesunie się w prawo od was... raz! robicie ruch ręką w taki sposób, aby powstał „biegnący węzeł". Węzeł ten biegnie wzdłuż liny i powinien zacisnąć szyję, ręce, czy klatkę piersiową złapanego, naturalnie o ile będzie dobrze zrobiony. Trudno jest to opisać i narysować. Rys. 4 dość nie dokładnie odtwarza cały przebieg ruchu.

Jeżeli będziecie mieli trudności w ćwiczeniu, to radzę Wam zwrócić się przy okazji do Szumiącego Dębu lub do mnie, a pokażemy Wam chętnie, o co chodzi.

Jeśli chcecie złapać nogę waszej „ofiary to poprostu ją, aby jedną podniosła i wtedy opuszczając linę na ziemię robicie „węzeł biegnący" — jak wyżej.

Przy dużej wprawie można związać biegnących, bez specjalnego proszenia o podnoszenie nóg.

Gdy noga jest należycie związana, zarzućcie drugi węzeł — i wtedy otrzymacie znakomity węzeł ósemkowy. Zademonstrujcie to drużynowemu, a zobaczycie, jak będzie zdumiony!

Gdy „ofiara" podskakuje, można obie nogi uwięzić zarzucając na nie węzeł. Szczegóły podaje rys. 5. Wszysto to wydaje się dość trudnem, lecz wierzcie mi, że można szybko dojść do odpowiedniej wprawy nie będąc wcale genjuszem (ani też cowboy'em).

Łowy arkanem — to cudowny sport.

Szkoda, że tak mało, u nas znany. A trzeba też wiedzieć, że człowiek umiejący się posługiwać liną może zrobić dużo pożytecznego zarówno dla siebie jak i dla bliźnich.

A to przecież najważniejsze.

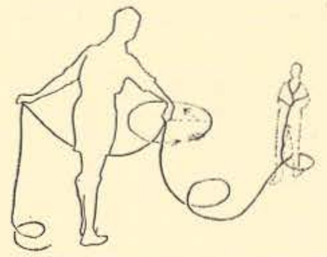

rys. 5.

Na Zlocie Narodowym w r. b. odbędą się zawody w łowach arkanem. Do zawodów mogą stawać wszyscy harcerze i instruktorzy bez żadnych ograniczeń.

Warunki zawodów:

Arkan długości 12—15 metrów.

Zawody na boisku wobec 3-ch sędziów wyznaczonych przez komendanta Zlotu.

Program zawodów:

1. Oględziny arkanów, (kreski za najlepszy arkan) własnej roboty.
2. Rzut prosty — na manekin w odległości 5 mk.
3. Rzut prosty — na manekin w odległości 8 mk.
4. Rzut najdalszy na manekin.
5. Takież rzuty jak 2, 3 i 4-ty, lecz z okręcaniem pętli nad głową.
6. Wiązanie żywej „ofiary" na odległości 5 mtr.
7. Łapanie biegnącego harcerza.
8. Popisy dowolne.

Uwagi.

Inne metody rzutów dopuszczalne w p. 8-ym.

Szczegóły sędziowania oraz nagrody poda osobny rozkaz.

Powodzenia na zawodach!

Henryk Glass.

Żywe paciorki.

(Z konkursowych obrazków harcerskich).

Dziesięcioletni skaut Staszek i ośmioletnia Hanusia bawią się razem i rozumieją doskonale, bawią się chociaż Staszek jest wujem Hanusi, a Hanusia siostrzenicą Staszka, chociaż Staszek nazywa Tatusia Hanki — Jasiem, a do Cioci Zosi mówi poprostu — Zosiu!

Staszek jest dla Hanki starszym „kochanym braciszkiem", a wujoskiej powagi używa tylko wtedy, gdy obawia się zbyt „młodego" wieku Hanki. Ciemne jego oczy błyszczą wówczas dziwnie, a zaciśnięte usta szepcą:

— Idź sobie! Ja muszę „coś" zobaczyć — ty jesteś za mała — jak będziesz starsza...

Gniewnie ściągają się czarne brwi Hanki i wydymają usteczka:

— Dużoś tam starszy! Dwa lata... Przecież ja wszystko rozumiem.

Staszek nie znosi żadnych uwag, groźnie marszczy czoło i niespokojnie tupie nogą w trawnik porosły bujną, zieloną murawą.

— Idź już! Idź!...

Hanusia nie płacze i nie prosi, ze zręcznością kota pnie się na wierzchołek najwyższego świerku, a z ust jej płynie ulubiona piosenka o góralu, który dla chleba musi opuścić rodzinne, niebotyczne góry.

Staszek tymczasem biegnie uprawiać swoje skautowe ćwiczenia: tropi, podchodzi, a jak wyraził się o nim wuj Tomek, „jest wprost nieznośny".

— Nieznośny? dlaczego? — myśli Hania, której do tego stopnia imponują wszelkie ćwiczenia Staszka, że oddałaby mu wszystko, nawet książkę o pajacu, który się stał „ludziem" — aby tylko zechciał zapoznać ją z arkanami swej sztuki.

Staszek jednak odmówił stanowczo.

— „Tobiebym pokazał"? — Także zachcianka! Babie mówić? Przez babę rozstrzelali naczelnika powstania, wypaplałabyś wszystko, baby mają długie ozory! — A my się kryjemy! I dumnie potrząsa czuprynę: My się kryjemy, jak powstańcy!

— Jabym powiedziała Staszku?

— No ty, to może i nie, ale zawszeć co baba to baba...

— Ja bym chciała być skautem!

— Skaut nie pije i nie pali — a ty co? Gdzież tobie nawet myśleć o tem? Zresztą baba skautem?! Ha, ha, ha! Skaut to rycerz polski, a rycerzem to chyba już być nie możesz?!

***

Aż przyszła wojna, okrutna krwawa. Brat szedł przeciw bratu, lała się świeża czerwona krew. Dziwnem zrządzeniem Opatrzności, po długiej, męczącej wędrówce oparła się Hanusia o szczyty srebrnego Elbursu — hen w ziemi Irańskiej. Urosła, ale zbladła i posmutniała, ciemne jej oczy czysto zraszała srebrzysta łza, przebiegał przez dziecinne usteczka wyraz głębokiej, podświadomej tęsknoty do Polski, rodzinnego miejsca, do Staszka...

Staszek mieszkał teraz w jednem z większych miast rosyjskich, znowu był skautem, pracował dzielnie i chwacko — od czasu do czasu przesyłając Hanusi karykatury skautów, wzory godeł, rysunki odznak skautowych.

Hanusia cieszyła się niemi, przerysowywała, przystrajała ściany całego mieszkania.

I marzyła ciągle, aby stać się skautką.

***

Dnia pewnego, gdy Hanka siedziała nad brzegiem morza wpatrując się w nieprzeniknioną dal — doręczono jej przesyłkę Staszka. Gorączkowym ruchem zerwała sznurek, — na wierzchu leżała maleńka, w żółtej oprawie książeczka: Glass i Sopećko — Książeczka Harcerza — Kijów 1917.

Dziewczynka nie posiadała się z radości — przyrzekła sobie, że skautką być musi.

„A przecież rycerzem być nie możesz" — przypomniała sobie kiedyś rzucone przez Staszka słowa.

I zadumał się dzieciak. Morze groźnie burzyło olbrzymie swe wody, fale biegły zachłanne do brzegu, Hanka oparłszy główkę na ręku, patrzyła ciągle w mętną nieznaną dal.

Aż nagle oczy jej padły na 4 nakreślone przez Staszka na okładce książeczki słowa:

„Dziewczyna skautką być może!"

***

Radośnie uśmiechały się duże, zamyślone oczy dziecka, gdy przeglądało — kartki nowej ukochanej książeczki, mocno uderzało jego serduszko — gdy usta wymawiały harcerzy słowo „Czuwaj"!

Hanka poweselała, raźno i ochoczo wzięła się do pracy.

I u stóp śnieżnego Elbursu, nad brzegiem uśpionego „Kaspiju" — dziecko polskie wykuwało w sobie hart i potęgę ducha, marząc o powrocie do kraju, o szeregach harcerek polskich i śpiewało wyrosłą w jego myśli piosenkę:

A gdy pomyślne na nas wichry wioną
I gdy wrócimy na Ojczyzny łono,
Karnie staniemy w szeregu do pracy
Bo tak powinni harcerze — Polacy.

„Wichura".

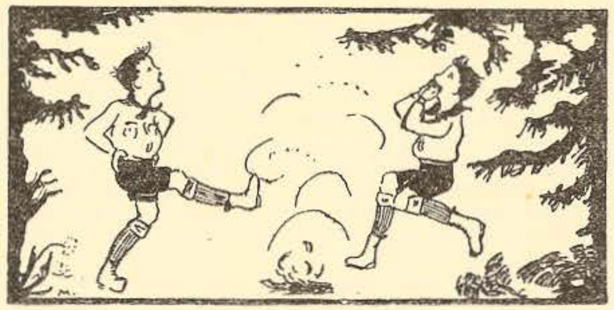

Płasy przy ognisku.

(Słowa pieśni wzięte z M. Konopnickiej „O krasnoludkach".

Przy zachodzie słońca nim ognisko rozpalą, harcerze stają dookoła ogniska, zwróceni twarzą ku słońcu i śpiewają: cyt... cyt... cyt...

Poczem zwracają się twarzami do środka koła i biorąc się za ręce, zaczynając miarowym krokiem, ruszają dookoła ogniska nucąc:

Nim zorzą spłonie świt,
Nim wschód zapali jutrzni znak,
Na senną ziemię sypmy mak;
Na senne trawy — rosy łzy,
Na ciche chaty — ciche sny,
Sny ciche sypmy z srebrnych sit.

Poczem zwracając się w tył i wyciągając ręce ku okolicy: cyt... cyt... cyt...

I znów idąc w koło:

Wskroś złotych kłosów żyt,
Wskroś wonnych ziół, wskroś wonnych traw
Nasz taniec płynie kołem żwaw,
Nasz taniec płynie w cichą noc,
Co czarów ma i dziwów moc
Wskroś puchów płynie kwietnych kit...

Tu się ognisko rozpala, wszyscy przyklękają zwróceni ku niemu i z wyciągniętemi ramiony śpiewają (cześć ognisku!) cyt... cyt... cyt...

Czy słyszysz chróstu zgrzyt?
Czy słyszysz złotych iskier trzask?
Czy widzisz złoty zorzy blask?
Czy widzisz jak wskroś trwaw i ros
Sobótki naszej płonie stos.
Jak ogień bucha aż po szczyt.

Poczem idąc wolno śpiewają: cyt... cyt... cyt...

I dalej znów taniec ze śpiewem:

Już oracz pracy syt,
My tańczmy żwawo aż do dnia,
Dopóki jedna miga skra,
My tańczmy aż do złotych zórz,
Nim brzask nasypie w błękit róż,
My tańczym, tańczym aż po świt.

Poczem ręce puszczają wolno i każdy zajmuje miejsce przy ognisku śpiewają: cyt... cyt... cyt...

archiwum

Imię leśne.

Dookoła piecyka zasiadła gromadka gwarząc wesoło, opowiadając sobie na wyścigi. Na piecyku gotuje się herbatka, a z otwartych drzwiczek bucha ciepło i światło takie, jakie daje obozowe ognisko.

Wesoło jest i dobrze wszystkim, stare to już i zżyte plemionko harcerskie. Dziś żegnają Zdzicha, jednego z najstarszych. Wśród nich wyrósł inni przy nim wyrośli, a pamięta jeszcze dawne czasy, bo Grodyńskiego. Teraz wychodzi z drużyny, bo jako stary wyga ma objąć inną. Ale gromadka postanowiła na drogę harcerskiego żywota dać mu imię leśne, bo wart jest tego i wodzem innej gromady ma zostać, więc bez godła nijako mu być.

Dziś ma się odbyć chrzest, wszyscy są wtajemniczeni, tylko Zdzich nic nie wie. Szelmosko, z niecierpliwością i utajoną radością spoglądają na drużynowego, zwłaszcza najmłodsze oczęta, kiedy też da hasło. — Wreszcie zabiera głos, przerywając gwar.

— A czy jest tu między nami Zdzich?

— Niema między nami Zdzicha — pada gromko z wszystkich ust.

— A gdzie on jest?

— Jest tylko Żbik — słychać jeden głos.

Jest Włóczęga — mówi drugi.

A czemuż on jest „Żbikiem Włóczęgą"?

— Bo ze Żbików rodu jest.

— Bo Żbikom ojcem był.

— Bo Włóczęgą starym jest.

— Bo zna go Spisz, Orawa, Tatry, Beskid i Podhale — tam jego raj.

— Znają go pola, lasy, góry i doliny.

Tak wyrywają się odpowiedzi na przemian.

— Podajcie mi godło — odzywa się znowu drużynowy. Podaję mu listek kory brzozowej: na jednym końcu rysunek Żbika na strzale, znaku drogi i wędrówki, na drugim napis „Zdzisław". Drużynowy spala przy ogniu napis i wręcza godło „ochrzczonemu".

— Niechaj więc lasy i pola nie znają cię inaczej, tylko pod mianem „Żbika Włóczęgi". Jak rodzina daje nazwisko człowiekowi, tak i ty wychodząc od nas weź z sobą leśne imię w świat.

Radość się rozpętała. Wyściskano „Żbika", a, żeby pamięć o nim nie zaginęła, wpisano go też na listę „Ojców Drużyny". *Zbigniew T.*

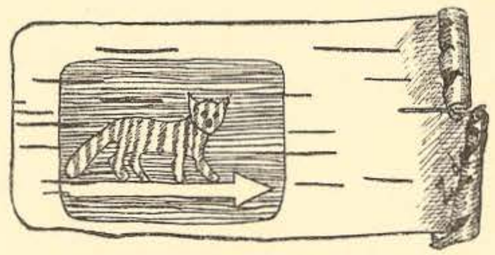

Pierwsze kwiaty.

Wielki urok mają dla nas pierwsze wiosenne kwiaty. Nic dziwnego. Przychodzą do nas, jako zwiastuny ciepła z pierwszemi promykami wiosennego słońca. Witamy je, jak starych, dobrych przyjaciół, dawno nie widzianych, o których się często w zimie myślało.

Jeszcze śnieg leżał na polach, w rowach i lasach, a już w ogródkach ukazały się białe główki śnieżyczek (galanthus nivalis). Śnieżyczki pojawiają się nieraz już w połowie marca, wskutek tego pączki kwiatów zabezpieczone są od chłodu pergaminowatym przykwiatkiem. Dopiero, gdy słońce silniej przygrzeje z pochewki przykwiatka wysuwa się biała główka śnieżyczki. Śnieżyczka ma 3 dość długie białe płatki i 3 o wiele mniejsze z zielonemi plamkami i paseczkami. Na noc i w razie niepogody białe płatki zamykają się, ochraniając w ten sposób pręciki z pylnikami. Pomimo takiej ochrony bardzo rzadko śnieżyczka daje owoce, prawdopodobnie z tej racji, że brak jest wczesną wiosną owadów, któreby ją zapylały. Zato w łuskach starych cebulek, wytwarza śnieżyczka nowe drobne cebulki i w ten sposób broni się przed wymarciem.

Do najwcześniejszych kwiatów należą też przylaszczki (anemone hepatica) o kilku(do 10-ciu) błękitnych płatkach kwiatów. Liście przylaszczki są skórzaste i pokryte gęstemi włoskami, chroniącemi je od zimna. Blaszka liścia posiada trzy duże wyraźne zęby. Przylaszczki znacie napewno dobrze. Wczesną wiosną, już w początkach kwietnia, sprzedają je dzieci na ulicach.

Bliskim kuzynem przylaszczki jest zawilec biały (anemone nemorosa). Białe płatki jego kwiatu mają od strony zewnętrznej lekki różowawy odcień.

Na łodydze, zakończonej u góry kwiatem, rozwijają się trzy zielone liście posiadające cztery głębokie wcięcia. Każdy z tych większych zębów liścia posiada jeszcze szereg nierównych, mniejszych ząbków. W nocy i w deszcz kwiat się zamyka i szypułka kwiatu zwisa w dół.

Do rodziny anemonów należy też sasanka (anemone pulsatilla) o kwiatach w kształcie dużych ciemno-liljowych dzwonków. Gęste włoski pokrywają tu nietylko zielone listki o cienkich, poszarpanych palcach i łodygę, ale i zewnętrzną stronę płatków korony. Cała roślina jest więc ubrana w ciepłe futerko, które ją chroni przed chłodem.

Nieco później kwitnie pierwiosnek (primula elatior). Zielone jego liście kształtu jajowatego, dość wydłużone, rozkładają się płasko na ziemi w kształcie gwiazdy. Liście te są bardzo pomarszczone, jakby karbowane. Ze środka tej liściastej gwiazdy unosi się prosta bezlistna łodyga, która się rozszczepia przy końcu na kilka, czasem kilkanaście zwisających małych łodyżek, zakończony żółtemi kwiatami. Pierwiosnek przypomina więc czasem parasol, czasem zaś pęk żółtych kluczyków (dlatego też w niektórych miejscowościach kresów wschodnich zwą pierwiosnki kluczykami).

Kwiat pierwiosnka posiada zielony dzwonkowaty kielich, z którego wysuwa się gwiazdkowa pięciopłatkowa korona. Ciekawą stroną pierwiosnków jest ich dwupostaciowość, to znaczy, że jedne kwiaty posiadają silnie rozwinięty słupek przy znacznym zaniku pręcików, inne odwrotnie — pręciki rozwinięte ze szkodą słupka. Wskutek tego, aby wytworzył się owoc, musi nastąpić przeniesienie pyłku z kwiatów pręcikowych do kwiatów słupkowych, czyli zapylenie. Funkcję tę spełniają najczęściej trzmiele, albo pszczoły, zwabione miodem kwiatu.

Na błotnych łąkach zakwita już teraz jaskier pszonka i kaczeniec. Złoci się od nich łąka cała, tak jak złocą się bledszym nieco tonem pierwiosnków polany i skraje lasów. W lasach pełno śnieżnych zawilców błękitnych przylaszczek, a w suchych miejscach liljowi się ciemna główka sasanki.

Pełną dłonią rozsypała wiosna swe skarby, zazieleniła soczystą młodą zielenią drzewa i powoli pokryła trawą łąki. Wszędzie znać jej hojną rękę. *em.*

Czy zauważyłeś, co się dzieje na wsi?

Oto minął miesiąc, odkąd gadaliśmy ze sobą. Jaka moc zmian od tego czasu, pomimo że czas był ciężki. Wogóle coś się spiknęło latoś. Zima była długa i ciężka, a wiosna znów późna, mokra i zimna. Wszystko też w polu spóźnione. Powiadają, że „kwiecień, plecień, wciąż przeplata, trochę zimy, trochę lata“, ale tym razem zdawało się, że już nam lata wcale nie pokaże. Zimno wciąż i zimno i ani nawet „od św. Wojciecha[1]) nie przyszła pociecha“. Wolno też i leniwie budziło się życie, a nasi skrzydlaci wędrowcy powoli sciągali. — A kiedyś ty widział pierwszego skowronka? Bo ja zaraz po Wielkiej Nocy. W tymsamym czasie dał się słyszeć pierwszy słowik, a dwie parki jaskółek zawitały do obory i rozpoczęły budowę gniazdek pod pułapem. A wiesz czemu jaskółka lubi się gnieździć przy stajniach? A czy dobrze tem służy? — Bardzo wolno pokazywały się pierwsze kwiaty wiosenne. Najpierw różne rodzaje cebulkowych, jak śnieżyczki i t. p., potem zaś fijołki, przylaszczki, stokrotki, zawilce, podbiały i t. d. Dopiero w ostatnich dniach trochę się zaroiło od dalszych: mniszków, kacznicy, krwawników, groszków leśnych i innych, a tarnina też rozkwitła.

Deszcze i mokre pola przeszkadzały rolnikowi bardzo w uprawie i przygotowaniach do siewu i trafia się jeszcze niejeden, który na zbyt mokrej ziemi dotychczas nie zdążył zasiać wszystkiego zboża. Przeważnie jednak pola się już zielenią. Oziminy[2]) podrosły nieco i założyły pierwsze kolanka, choć powinny być znacznie wyższe o tej porze. Jare zboża[3]) nieśmiało dopiero zielenią się w polu. Wschodzą też już grochy, wyki, boby, koniczyny. Sieją jeszcze buraki, choć i na te już późno. — Kto pokończył siewy brał się zaraz do sadzenia ziemniaków, najpierw wczesnych, potem jesiennych. Kto ma koniczynę, wsianą zeszłej wiosny w zboża, wygrabił lub zbronował łońską ścierń, by dać się koniczynie prędzej ruszyć. Od paru dni zaczyna bydło wychodzić na pastwisko. Liche ono jeszcze, trawa ledwie od ziemi odstaje, bo przy tych zimnach nic rosnąć nie chciało, ale wyczerpane zapasy zimowe niejednego zmuszają, by nie czekać dłużej. Tu na pastwisku krowa dopiero jest w swoim żywiole, jaka radość, gdy wreszcie można ją puścić na zielenicy, zaraz jej też mleka przybędzie. A zauważ, jak mleko i masło staje się bardziej żółte i innego nabiera zapachu.

W ogrodach i sadach też praca wre. Zasiana już rozsada kapusty i warzyw i przygotowuje się ziemię pod ich sadzenie. Drzewa czas czyścić i siać kwiaty, gdy ktoś chce upiększyć swój ogród. Kto miał drzewa do sadzenia lub szczepienia, powinien z tem już skończyć. Teraz zaczynają już kwitnąć czereśnie, śliwy, agresty itd., a wkrótce całe sady będą białe i różowe. Pszczoły też biorą się już do swej żmudnej pracy. A czy poznasz drzewa owocowe wtedy, gdy jeszcze nie mają owoców? Kasztany powinny już dawno kwitnąć, ale się dopiero do tego zabierają. Także i bzy lada dzień roztoczą swą woń.

W lasach też mija nas siewn i przygotowania szkółek[4]), oraz rozsadzania drzewek. Kto miał wierzby przydrożne do przycięcia, zrobił to zawczasu i zaraz sadził przycięte gałęzie tam, gdzie nowych wierzb potrzebuje. Komu Pan Bóg poszczęścił, tam roją się zagrody od wylęgłego drobiu, a po kurnikach lub w komorach siedzą kwoki, gęsi i indyczki na jajach.

Tak oto minął czas budzącego się życia. Teraz zaś miej oczy otwarte, bo w czasie młodzieńczego rozwoju w przyrodzie, gdy tylko przyjdzie trochę ciepła, zobaczysz ogromne zmiany w polach, lasach i ogrodach. Obserwuj wszystko, pytaj o objaśnienia rolnika lub znawcę, a za miesiąc znowu się spotkamy. Jeszcze ci podam wskazówkę, jak teraz rozróżnić zboża w polu. Żyta i pszenice są już większe, bo z jesieni; jęczmienie i owsy mniejsze. Żyto ma odcień jaśniejszy nieco szarawo-srebrnym nalotem przyprószony, pszenica bardziej soczystą i szersze liście, jęczmień w miejscu, gdzie pochewka liściowa przechodzi w liść, obejmuje źdźbło charakterystycznemi „ostrogami“, czego niema wąskolistny owies.

Na Podkarpaciu 9. maja 1924 r.

Zbigniew Trylski.

[1]) 23-go kwietnia.
[2]) t. zn. siane przed zimą, głównie żyta i pszenice.
[3]) t. j. siane na wiosnę: owies, jęczmień niektóre pszenice.
[4]) Miejsca, gdzie przygotowuje się sadzonki.

Z Królestwa Przyrody.

(Prof. Dr. Janota, Ludwik z Litwy, Wójcicki, St. hr. S. Rymkiewicz, Masius).

Podanie ludowe, ta najpierwsza poezja człowieka, zachowała wiele spostrzeżeń ciekawych, znamionujących miłość dawnych pokoleń do Przyrody. Dawniej człowiek nieodbiegał tak daleko jak teraz od natury, częściej z nią przestawał i... lepszym był, niż jest dzisiaj. A i teraz, gdy do niej wraca, zawsze budzą się w nim uczucia lepsze, szlachetniejsze. Królestwo Przyrody działa kojąco i na uczucia złe i na zranione, na trapiące nas często myśli, odgania troskę dni powszednich. Zawsze w niem zaczerpnąć można sił, otuchy i wiary! Słuchajcie więc zawsze, gdy Przyroda do Was mówi! Otwierajcie szeroko oczy i uszy, by widzieć, słyszeć i zrozumieć Ją! Idźcie do Niej! Jaknajwięcej, jaknajczęściej idźcie precz z tego zatęchłego, zgubnego miasta. W pola, w lasy! „Tam swobodnie można żyć“! I uczucia budzą się w Tobie lepsze, głębsze, inne... Ogarnia Cię spokój duszy. A to bardzo wiele. Teraz wracając do tematu opowiem Wam Druhny i Druhy kilka podań o bocku:

Na Litwie często lud opowiada powiastkę o bocianie, który jest tam uważany za świętego ptaka. Zabić go, to gorzej niż zabić człowieka; największa ze zbrodni. Bo bocian, według legendy ludowej, to człowiek pokutujący za winy swoje. A było to tak, posłuchajcie: Najwyższy Bóg stworzywszy świat spostrzegł, że za wiele szkodliwych gadów na ziemi umieścił. Chcąc jakimkolwiek sposobem ten błąd naprawić, pozbierał wszystkie jakowite i brzydkie stworzenia swoje, włożył do wielkiego, skórzanego wora, zawiązał i oddał człowiekowi imieniem Stonelis[1]) do zatopienia w pobliskim jeziorze, z tem najsurowszem zastrzeżeniem, aby nie rozwiązywał wora i nie patrzał co się w nim znajduje. Stonelis idąc z worem ku jezioru myślał: „Cóż złego jeśli zobaczę jaki niosę ciężar, może to bogactwa“. Lekceważąc rozkaz Boga otworzył wór, z którego wszystkie gady wysypały się na ziemię. Przestraszony ich widokiem, oraz zmartwiony swym postępkiem wraca do Boga, który się właśnie grzał przy ogniu roznieconym z jodłowych gałęzi. Z bojaźnią wyznaje przed Stwórcą swój błąd. Rozgniewany Bóg porwał płonącą głownię, uderzył nią Stonalisa i w bociana zamienił, rozkazując, aby za pokutę przez całe życie zbierał płazy, które tak niebacznie rozsiał po ziemi. Dlatego też bocian całe swe życie zbiera gady, a od owego uderzenia osmoloną głownią ma czarne skrzydła.

Inne podanie ogólnikowo wspomina, że Chrystus Pan jakiegoś oszczercę zamienił w bociana i kazał mu świat oczyścić z oszczerstw, które zamieniły się w gady i plugastwo i po całym świecie się rozpierzchły.[2]) Jest to pewno jakieś dawne ludowe litewskie podanie, przemienione pod wpływem chrześcijaństwa.

W „Naturstudieren“[3]) czytamy o podaniu szwedzkiem, według którego przybył bocian do wiszącego na krzyżu Chrystusa i widząc Jego mękę, wołał do Boga Ojca: „Pokrzep, pokrzep, pokrzep Go“! („Stärke, stärke, stärke Ihn“! Stąd nazwa Storch, po szwedzku stork). Arabowie utrzymują, że bocian był pierwotnie Marabuem, i za jakiś grzech zamieniony został przez Allaha w ptaka. Na lato odlatuje pod tron Allaha i błaga o przebaczenie; lecz widocznie bardzo ciężki grzech popełnił, bo Allah mu nie przepacza. Wspominając dawne czasy, kiedy był człowiekiem i duchownym mahometaninem, lubi bociek przebywać na dachach meczetów. Gdy tam stoi na jednej nodze, jakoby w myślach zatopiony, przebudza się z zamyślenia, głowę w tył skłania i podniósłszy ją ku niebu, gdzie stoi tron Allaha, zaklekoce — mówią wtedy Arabi, że się „Marabu modli“.

Na dzisiaj dosyć gawędy. Mam o boćku b. dużo jeszcze do opowiedzenia. Dalszy ciąg w następnym numerze. A może Ty, kochany Czytelniku podasz parę swoich uwag, spostrzeżeń z życia przyrody? Spróbuj i prześlij... Każdy z Was powinien się podzielić swemi spostrzeżeniami i uwagami. Czuwaj!

„Złożyłem usta na ustach przyrody,
Spojrzałem duszą na góry i wody.
I namiętnemi całując ustami
Ziemię rodzinną, zalałem się łzami.
I inna miłość ku ojczystej ziemi
Wnet mnie olśniła promieniami swemi...
Zacząłem kochać...“

Przep. *K. Swirtun-Rymkiewicz.*

[1]) Po litewsku bocian: „Stonelis“, albo „bitîan“ (narzecze dolno-litewskie). [2]) „Zarysy domowe“ 2; 7 l. [3]) Art. Masiusa (1), 350, przyp. 111.

Pan Prezydent Rzeczypospolitej Honorowym Harcerzem.

Pan Prezydent Wojciechowski Protektor Związku Harcerstwa Polskiego raczył przyjąć stopień i odznakę Honorowego Harcerza Rzeczypospolitej. Uroczystość wręczenia odznaki i dyplomu odbyła się w dniu 8 maja b. r. na Dziedzińcu Raszyńskim Szkoły podchorążych wobec hufca reprezentacyjnego Chorągwi Warszawskiej. O godz. 10. 30 przybył Pan Prezydent w towarzystwie Szefa Kancelarji cywilnej p. Lenca, adjutanta generalnego pułk. Zaruskiego, komendanta miasta gen. Suszyńskiego, oraz świty cywilnej i wojskowej. U wejścia do Szkoły Podchorążych zebrali się minister W. R. i O. P. p. Miklaszewski, kurator okręgu szkolnego p. Zawadzki i inni przedstawiciele władz państwowych, oraz członkowie naczelnych władz harcerskich. Pana Prezydenta powitał w imieniu harcerstwa wice-przewodniczący Z. H. P. gen. A. Osinski, w imieniu Szkoły Podchorążych mjr. Merwin, raport złożył wice-przewodniczący Z. H. P. i Naczelny Inspektor Harcerstwa harcmistrz St. Sedlaczek. Przy dźwiękach hymnu narodowego, odegranego przez orkiestrę reprezentacyjną Komendy miasta, Pan Prezydent dokonał przeglądu drużyn przechodząc przed ich frontem (35 drużyn, 838 młodzieży). Przed frontem drużyny sztandarowej gen. Osiński zwrócił się do Pana Prezydenta z temi słowy:

„Druhu Prezydencie! Protektorze! Młodzież harcerska całej Polski, którą raczyłeś przyjąć pod swój protektorat składa Ci oto tym Dyplomem Honorowym najgłębsze i najczystsze uczucia prawdziwej młodzieńczej wdzięczności za ten zaszczyt, jaki ją spotkał.

Życie młodzieży pełne niebezpieczeństw i pokus — harcerz zaś śmiało kroczy naprzód bez obawy, gdyż ochroną dla niego staje się spełnienie jego obowiązków harcerskich, które dobrowolnie na siebie przyjął, a drogowskazem tych są: niezlomna wiara, miłość Ojczyzny i służba ofiarna dla całego Narodu.

Młodzież harcerska, składając Ci dzięki za to wszystko co dla niej uczyniłeś, składa jednocześnie ślubowanie przed swoim Najwyższym Harcerzem Honorowym stałego i niezłomnego spełniania swych obowiązków harcerskich, a gdy dasz hasło „Czuwaj“: Harcerstwo całej Polski odpowie Ci gromkiem Czuwamy!

Po przemówieniu gen. Osińskiego najmłodszy harcerz podał krzyż harcerski, który na żądanie Prezydenta przypiął Mu druh Sedlaczek; harcerka i harcerz wręczyli równocześnie legitymację harcerską i dyplom oraz parę wydawnictw harcerskich. Następnie prezes Zarządu Oddziału Warszawskiego p. Karśnicki, prezes Gł. Urz. Likw., w imieniu Oddziału dziękował Panu Prezydentowi za wielką życzliwość Harcerstwu okazywaną i podkreślił, że przyjęcie krzyża harcerskiego przez Najwyższego Przedstawiciela Narodu i Państwa będzie symbolem blizkich związków całego społeczeństwa z harcerstwem. W końcu przemówienia prezes Karśnicki złożył Panu Prezydentowi w imieniu harcerstwa serdeczne życzenia imieninowe. Na sygnał drużyny zebrały się sprawnie dokoła swego Protektora, który krótko podziękował za miły dlań wyraz uczuć młodzieży i życzył pogodnej pracy. Drużyny wróciły na swoje miejsce. Zabrzmiała Rota.

Słowami „Do widzenia na Zlocie w lipcu“ Pan Prezydent pożegnał się z młodzieżą i starszyzną i opuścił Podchorążówkę.

Jak wiadomo Pan Prezydent obejmując Protektorat był łaskaw przyrzec obecność Swoją na pierwszym Zlocie Narodowym Harcerstwa w dniu 3—9 lipca w Warszawie.

archiwum

Jack London.

Wołanie Puszczy.

(Dokończenie.)

Tłum. O. M.

Wspaniałe muskuły na usługach tej inteligencji, błyskawiczna orjentacja i szybkość decyzji napawały podziwem obserwujących go Thorntona i jego towarzyszy. Ze zbliżaniem się zimy w okolicy pojawiły się stada reniferów, które szukając bardziej osłoniętych i cieplejszych okolic posuwały się na południe. Buck zakosztowawszy mięsa jednego z nieostrożnych cieląt, które dopadł w odosobnieniu i upolował, wrzał żądzą zdobycia lepszej ofiary. Sposobność nadażyła się wkrótce. W stadzie około 20 reniferów spotkanem przez Bucka na odległej łączce, znajdował się olbrzymi krasny byk, wódz gromady. Bystre oczy psa zobaczyły natychmiast koniec tkwiącej pod łopatką strzały, która, jak to z zachowania się zwierzęcia było widać, sprawiała mu silny ból i była powodem szalonej wściekłości potężnego rogala.

Buck, wiedziony pierwotnym instynktem łowieckim, postanowił odłączyć swą ofiarę od chmary. Nie było to łatwe zadanie. Zaatakowany rogal rzucał się wprawdzie na Bucka, jak duch jaki uchodził natychmiast w przeciwnym kierunku, lecz gdy tylko wódz w pościgu za nim zanadto się oddalił, natychmiast całe stado zatrzymywało się, a kilku młodych rogali biegło mu z pomocą szarżując ze swej strony na Bucka. Niepokonana jest siła cierpliwości, toteż powtarzane ataki znużyły wreszcie stado, zwłaszcza, gdy zwierzęta zauważyły, że wymaga się od nich ofiary tylko jednego z towarzyszy. W końcu dnia stary ojciec rodu ujrzał się wreszcie osamotniony, naprzeciw nieubłaganego wroga. Odtąd dzień i noc Buck nie opuszczał swej ofiary, nie pozwalając jej ani na chwilę odpocząć lub zaspokoić głód czy pragnienie.

Każdą próbę ucieczki udaremniała niesłychana szybkość poruszeń Bucka, który sam o tyle w lepszej znajdował się sytuacji, że mógł z napotkanego potoku napić się wody lub przygodnie złapanym zającem podtrzymać swe siły.

W końcu, potężny ren padł czwartego dnia tego zaciekłego pościgu bez sił, a zwycięski Buck przeciął swymi straszliwymi kłami nić jego życia. Całą dobę spędził Buck przy łupie śpiąc i spoczywając, wreszcie odświeżony i silny puścił się z powrotem do obozu najprostszą możliwą drogą, jakby magnetyczną igłą kierowany, niemylnie odnajdując właściwy kierunek.

Pędząc tak zauważył dziwne zmiany w okolicy; całe życie było jakieś inne, niż w ciągu lata. Kilkakrotnie nozdrza jego chwytały jakąś odległą a niezwykłą woń, która kazała mu coraz to szybciej pospieszać. Dziwne uczucie nadchodzącego nieszczęścia owładnęło Buckiem. Zbliżywszy się na parę mil do obozu, zaczął poruszać się z niezwykłą dotąd ostrożnością, aż wreszcie jakieś 3 km. od namiotów natknął się na świeży ślad, który natychmiast zjeżył każdy włos na karku. Jak cień niesamowity w mrokach zapadającego wieczoru pędził dalej, a nozdrza jego zdradzały mu wszystko co się wokół działo.

Paręset metrów od namiotów natknął Buck na martwe ciało swego kolegi Niga przeszytego strzałą. Z obozu dochodziła szalona wrzawa dzikiego śpiewu. Buck, czołgając się na brzuchu podszedł aż do rogu polanki na której stały dawniej namioty. Tam leżał trup Hansa, naszpikowany strzałami jak jeżatka.

Szalona wściekłość ogarnęła Bucka; zrozumiał wszystko! nie wiedział już nawet że zawył — po raz ostatni w życiu, uczucie wzięło w nim górę nad chytrością i rozumem: John Thornton nie żył, a wśród szczątek obozowiska tańczyła banda Indjan Yechatów.* Jak żyjący huragan furji rzucił się na nich Buck opanowany żądzą zemsty.

Rozerwał kłami gardło pierwszemu z brzegu Indjaninowi — był to właśnie wódz plemienia i nie zatrzymując się ani chwili następnym skokiem rzucił się na drugiego, rozszarpując mu krtań, aż krew trysnęła strumieniem. Nie było możności oparcia się tej straszliwej bestji, w jaką Buck się w oka mgnieniu zamienił. Szalał w pośród tłumu, szarpiąc i rozrywając ciała nagich wojowników w ustawicznym niepojęcie szybkim ruchu, który udaremniał wymierzone przeciw niemu strzały. I w rzeczywistości, Indjanie, chcąc w tym ścisku trafić Bucka ranili i zabijali strzałami i włóczniami sami siebie, aż wreszcie panika owładnęła Yechat'ami i uciekli w przerażeniu w gąszcze lasu, głosząc w ucieczce wieść o przybyciu Złego Ducha.

I istotnie Buck jak wcielony djabeł gnał ich śladami, powalając ich jak bezbronne łanie w pogoni wśród drzew. Był to fatalny dzień dla Yechatów! Rozbici i przerażeni rozbiegli się daleko po okolicy i tygodnia czasu było potrzeba nim reszta pozostałych przy życiu, zebrała się w odległej kotlinie i porachowała swe straty.

A Buck zmęczony pogonią powrócił do opuszczonego obozowiska, i dzień cały wyjąc boleśnie brodził nad brzegami potoku, w którym, jak mu to węch wskazywał spoczęło po bohaterskiej walce ciało Thorntona.

Niewytłomaczona i dziwna pustka, podobna do głodu pozostała w piersiach Bucka i nie mógł on jej niczem zapełnić. Jedynie czasem, patrząc na trupy Yechatów zapominał o swym bólu i czuł szaloną dumę w sobie. Oto zabił ludzi — najszlachetniejszą zwierzynę — i to według wszelkich praw wolnej walki. Tak łatwo umierali! Gdyby nie, ich strzały, maczugi i włócznie, nie byłoby to wcale trudne!

Noc nadeszła a pełny księżyc wspaniale oświetlił całą polankę niesamowitem swem światłem. I znowu Buck zauważył wokoło inne życie w puszczy od tego, jakiego Yechatowie byli sprawcami.

Zdala doszedł go odgłos ostrego poszczeku, najpierw pojedynczego, później chór cały podobnych odgłosów złączył się z pierwszym i zaczął się przybliżać. Buck podszedł na środek polanki i słuchał. Głos ten był mu już kiedyś — dawno — dawno — znany — a teraz brzmiał bardziej pociągająco niż kiedykolwiek. John Thornton umarł. Ostatnie więzy były zerwane. I Buck gotów był za głosem tym pójść.

Była to chmara wilków, która polując po bokach wędrujących reniferów naszła polankę Bucka. Nieporuszenie, jak posąg, stał w oczekiwaniu ich nadejścia Buck, a postawa jego milcząca i groźna na chwilę wstrzymała całą chmarę; lecz po chwili najodważniejszy z wilków skoczył wprost na niego. Jak błyskawica rzucił się Buck naprzeciw i w mgnieniu oka przegryzł mu kark — i znowu stał wspaniały i nieporuszony jak przedtem. Trzy inne wilki jeden po drugim próbowały szybko atak ponowić, i cofnęły się ociekając krwią z rozszarpanych bark i krtani.

To wystarczało, by cała chmara w szalonym zgiełku rzuciła się — wzajemnie sobie przeszkadzając — na Bucka. Dzięki szalonej swej zręczności i szybkości Buck bronił się cudownie, cofając się, dla zabezpieczenia się od tyłu aż do skalistego wyciosu przy brzegu potoku.

*) czyt. Jichat.

Po półgodzinnej zaciętej walce wilki cofnęły się rozczarowane i zmęczone, dyszące od zaciekłości i upokorzenia, ustawiając się szerokim kręgiem przed schronieniem Bucka. Aż z pośród koła wysunął się jeden, długi chudy, siwizną przyprószony wilk i posuwał się naprzód w sposób przyjacielski lecz ostrożny. Buck rozpoznał swego brata z owej wspólnej wycieczki. Stary przyjaciel skomlał cicho, a skoro Buch mu w ten sam sposób odpowiedział, obaj dotknęli się nosami.

Potem podszedł drugi wilk również ogromny i bliznami okryty — i poprzednia scena powtórzyła się, po dłuższej jeszcze ceremonji. Potem wilki usiadły zadarły łby do księżyca i rozpoczęły długie wycie.

A wówczas w Bucku ozwał się znowu głos pierwotny z niestrzymaną już siłą. I on usiadł obok i zmieniał swój potężny głos z chórem gromady.

Po skończeniu wycia, gromada wilcza na znak przywódców pobiegła dalej, a Buck poszedł już bez wahania wraz z nimi.

Tu kończy się historja Bucka. Lecz po niewielu latach Yechatowie zauważyli zmianę w rasie wilków leśnych. Wielu z młodych wilków ma szczególne, białe plamy na piersiach — a na ciele gromady, jak opowiadają wojownicy tego plemienia ze strachem, biegnie pies-widmo, szczególnie dla nich groźny.

Ogólnie krążą wśród nich wieści, że ten właśnie straszliwy pies, uchodzący przed ich najlepszymi łowcami, jest sprawcą zguby wielu, wielu wojowników, którzy kiedyś odważyli się sami wyjść w puszczę, a których potem towarzysze znajdowali zabitych z rozszarpaną piersią, a obok znać było ślady wilcze, ogromem swym wszystkie inne przewyższające.

I jest jedna dolina, o której Yechatowie niechętnie wspominają — a nigdy tam nie zachodzą — bo zły duch obrał tam sobie siedzibę.

I tylko w lecie dolina ta jednego ma stale gościa. Jest nim ogromny, wspaniałem futrem okryty wilk podobny, a przecież inny od pozostałych wilków. Przybywa tam nocą w dni księżycowej pełni, siada nad brzegiem potoku zawsze w tem samem miejscu i rozpoczyna długie, dziwnie przejmujące wycie.

Koniec.

Lato samotnika.

Z nadchodzącą porą letnią wre praca w drużynach. Wszystko sposobi się do wyjazdu na kolonję wzgl. do obozu, by tam zdać egzamin z sprawności i zaradności harcerskiej. Mimo, że urządzenie własnego obozu, czy kolonji wakacyjnej winno być punktem honoru każdej drużyny, statystyka urzędowa wykazuje, że w roku 1923 zaledwie 11,4% młodzieży harcerskiej spędziło pewien czas na kolonjach, a organizacją akcji zajęło się tylko 17,4% drużyn.

Jak praktyka wykazała, w większości drużyn zamiera życie na czas wakacji, co stanowi bardzo przykrą i ujemną stronę pracy harcerskiej, która winna zajmować młodzież przez rok cały. W związku z koniecznością prowadzenia pracy i w obrębie zdekompletowania drużyny przez wyjazd większości członków, poruszę tutaj zagadnienie programu dla tych, którzy na czas wakacji pozostaną w mieście względnie spędzą miesiące letnie zdala od środowisk harcerskich. Wskazówki poniżej podane mają służyć zastępom sformowanym na czas wakacyj lub samotnym harcerzom. Przypuszczam, że dobry drużynowy przed wyjazdem na wakacje, czy do obozu upewni się, czy wszyscy członkowie drużyny mają dostosowany do warunków program indywidualny, z zrealizowania którego zdadzą sprawę po ukończonych wakacjach.

W programie rozróżnię trzy elementy: 1. technikę harcerską, 2. krajoznawstwo i 3. pracę społeczną.

Niema prac z zakresu techniki harcerskiej, którychby nie mogła wykonać jednostka lub zespół 2-3, czy więcej harcerzy. Podpatrywanie życia naszego, otoczenie na wsi czy w mieście dostarczy nam wielu szczegółów, które umożliwią poznanie ludzi wśród których żyjemy. Jak mało mamy chłopców w mieście, którzy wiedzą dokładnie o której godzinie z głównych przystanków odchodzą tramwaje, ile dorożek, samochodów, czy wozów tramwajowych znajduje się w mieście; o której godzinie budzi się miasto i kiedy tętno ruchu osięga największe napięcie; jakie są odległości między ważniejszemi punktami miasta czy gmachami; które z domów przedstawiają wartość jako zabytki budownictwa; jakie zabytki historyczne zachowały się po dzień dzisiajszy; jakie szczegóły ubioru znamionują przybyszów. A na wsi! Tryb życia ludzi i zwierząt dostarczy nam niemało okazji do obserwacji i wysuwania wniosków.

Trudno o lepszą okazję zaznajomienia się z pionierką jak praca pod okiem fachowca, któremu harcerz swą pomoc bezinteresownie zaofiaruje. Cieśla pokaże nam jak wiązać belki i obciosywać drągi, murarz wtajemniczy w sposoby spajania kamieni lub cegieł, rybak doskonale pokaże wiązanie lin, posługując się sposobami nawet nie objętemi przez znane podręczniki harcerskie. Sposobów wznoszenia prymitywnych zasłon i urządzeń będzie się można nauczyć niosąc pomoc wznoszeniu budynków, a kilka wizyt złożonych stelmachowi, kowalowi czy mechanikowi odsłoni nam tajniki sztuki dla nas dotąd mało dostępnej.

Każdy dworzec kolejowy jest miejscem, na którem szeroko stosuje się sygnalizację, a z urzędów pocztowych można wyprosić taśmy papierowe zapisane alfabetem Morsego. Odcyfrowanie tych paseczków podniesie znacznie sprawność w czytaniu znaków, a posługując się na przechadzce gwizkiem łatwo wydoskonalimy się w podawaniu się w podawaniu sygnałów dźwiękowych.

By utrwalić przeżycia w czasie wakacji przyjdzie zrobić i szkic, choć prymitywny. Zdolniejsi nie omieszkają zastosować przy tej okazji zdobyczy z dziedziny topografji. Wycieczki w teren ułatwią poznawanie różnic gleby, a własny zegar słoneczny wskaże, kiedy pora powrócić do domu.

Wśród zajęć codziennych nie zawsze znajdujemy czas na bliższe zapoznanie się z okolicą mieszkania. Wakacje stwarzają lepsze ku temu warunki. Harcerz stojący we wrześniu na zbiórce powakacyjnej drużyny musi być w stanie opisać ludzi, zwierzęta i przyrodę

archiwum

wśród których wakacje czy lato spędził. Nie pytano was dzisiaj o rodzaje i nazwy drzew i krzewów zdobiących ogrody czy aleje, które codziennie mijacie? Czas jednakowoż, byście im cośkolwiek uwagi poświęcili. A znacie zwyczaje ludu naszego? Kto spisał jego piosnki i melodje ulubione? Prawie każda wioska ma swoją śpiewkę ulubioną: znajdzie się i zabawa swojska. Czy umiecie urządzić dożynki na wzór tych, któremi rok rocznie kończy się okres żniw. Starajcie się podpatrzeć, opisać i utrwalić to wszystko dobro, które codziennie na drodze życia spotykacie. Umiejętności techniczne harcerza ułatwią należyte wywiązanie się z roli krajoznawcy, a zbiory osobiste czy drużynowe niechaj się powiększą o szereg oryginalnych okazów.

Żalą się wszyscy na brak pracowników społecznych: starsi, niewychowani w harcerstwie trawią często godziny całe na dysputach jak się zabrać do pracy społecznej. Wam harcerze o tem chyba wiele mówić nie trzeba. Znacie prawo o pomocy bliźnim. Wywiad wskaże wam miejsce czynu, pokaże potrzebujących pomocy, a w ślad niechaj idzie czyn harcerski. Czy wiecie gdzie mieszkają potrzebujący pomocy i opieki szczególnie z tych, którzy nie łachmanami i brudem rzucają się w oczy, lecz nie mogą z twarzy usunąć znamion żalu, bolu czy biedy? Słyszeliście opowieść o kraśnoludkach, jak wyświadczają wiele dobrego przez nikogo nie dostrzeżeni? Idźcie w ich ślady! Czyńcie dobrze bez rozgłosu tak, by nawet ci, którym służycie o tem nie wiedzieli. Młodzież wałęsająca się, tak bardzo potrzebuje serca i ręki. Idźcie i stwarzajcie godziny opromienione słońcem wesela i zadowolenia. Wiele dobrego można zdziałać, zyskawszy zabawą serca dziatwy czy młodzieży, a przez dzieci wiedzie droga do rodziców. Nie mówcie wiele o pięknych hasłach i celach, lecz starajcie się okazać postępowaniem poziom harcerski.

Koniec lata i wakacji zgromadzi zastępy i drużyny. Gdy zasiądziecie wokoło ogniska niech każdy zda sprawę z czynów, przedstawi plon pracy. Zbiory osobiste, zastępów czy drużyn niechaj się powiększą przez dzieła rąk waszych i pamiątki, zebrane w czasie pracy letniej. Porównanie wyników wskaże, czy po właściwej drodze szliście, a powrót do życia zbiorowego stanie się pięknym, boście idąc własnemi drogami nauczyli się pracy twórczej. *Szary wilk.*

Skauting zagranicą.

Ameryka. Prezydent Stanów Zjednoczonych A. P. Coolidge przyjął, na wzór swoich poprzedników godność honorowego prezydenta amerykańskiej organizacji skautowej. Jego dwóch synów należy do drużyn, a sam prezydent w szczególnie serdeczny sposób odnosi się do skautingu.

Anglja. Według ostatnich obliczeń liczba skautów angielskich wynosi 342000.

W Londynie od 1918 r. istnieje Skautowa Liga Esperanta: „Skolta Esperantista Ligs". Ma ona wielu zwolenników wśród skautów wszystkich krajów i znakomicie przyczynia się do nawiązania braterskich stosunków między członkami wszechświatowej organizacji skautowej. Sam „stary wilk" sir Robert Baden-Powell należy do tej Ligi i gorąco współpracę w niej wszystkim skautom poleca.

Uroczystość św. Jerzego (23 kwietnia) — patrona organizacji skautowej była wspaniale obchodzona wśród skautów wszystkich krajów. Defilady, odczyty i popisy drużyn w Londynie, Paryżu i Rzymie, oraz wielu innych wielkich miastach zorganizowane przy tej sposobności, znakomicie się przyczyniły do propagandy idei skautowej.

Brazylja. Ostatni zeszyt „O Escoteiro" podaje interesującą statystykę brazylijskich skautów katolickich: wykazuje ona istnienie w dniu 31 stycznia b. r. 37 drużyn o łącznej liczbie 3738 członków.

Czechy. Podległy ogólno-czeskiemu Związkowi Skautowemu skauting na Rusi Karpackiej rozwija się, jak to donosi „Skaut-Junak" pomyślnie. Organem tamtejszych ruskich skautów jest ukazujący się w 3 językach „Plastun-Junak-Cserkész". Niedawno odbyta wizytacja tamtejszych drużyn przez naczelnika Związku czesko-słowackich skautów dr. Szojsika wypadła ku obopólnemu zadowoleniu i przyczyniła się znacznie do wzajemnego poznania się i zrozumienia.

Francja. Liczba skautów we Francji, we wszystkich trzech organizacjach wynosi obecnie około 12000. Ogólnie daje się odczuwać brak drużynowych i wogóle instruktorów, oraz pewna niechęć do pozostawania dłużej — ponad pewien wiek — w organizacji; objaw ten tłómaczą kierownicy ruchu nadmiernym rozrostem organizacji o celach czysto sportowych lub militarystycznych, które odciągają starszych chłopców od skautingu.

Holandja. 2 skauci holenderscy: Henryk de Grovte i Tomasz Willigenburg z 12 drużyny Rotterdamskiej wybrali się w podróż naokoło świata. Opuścili oni swoje miasto rodzinne w dn. 2. października 1923 i przeszli już Belgję, Francję, Algier, Tunis, Tripolis, skąd powrócili do Europy, i przez Włochy, goszczeni tam serdecznie przez włoskich druhów, udali się do Jugosławji, skąd mają zamiar powędrować do Azji. W podróży swej nie napotkali poważniejszych przeszkód i są zachwyceni swemi dotychczasowemi przeżyciami. W Indjach holenderskich, jak to donosi „Het Leidersblad" istnieje obecnie 22 drużyn skautowych. Główna kwatera znajduje się w Semarang; najliczniejszy jest hufiec Batawski, który liczy 147 skautów, potem hufiec w Seorabaji — 131 w Bandoeng 99 — oraz kilka samoistnych drużyn. Łączna liczba zarejestrowanych w Indjach holenderskich skautów wynosi prawie 600. Część z nich będą mogli uczestnicy „Jamboree" zobaczyć w Danji na zlocie.

Jugosławja. Skauting jugosłowiański znajduje się w okresie żywego rozwoju, jak dotąd znajdują się tam już w 51 miejscowościach drużyny skautowe, a coraz nowe oddziały powstają jeszcze. Bracia nasi na południu wydają w Osijeku (Osjach) sympatyczne pismo „Skaut".

Luxemburg. Skauci luxemburscy usilnie się przygotowują do godnego zareprezentowania swych narodowych barw na „Jamboree" w Kopenhadze. Mały ten kraik postanowił nie dać się prześcignąć w sprawności skautowej innym narodom i wysyła własną drużynę reprezentacyjną do Danji. Oprócz tego w dniach 2—4 sierpnia odbędzie się narodowy zlot w Rumelangen, z udziałem gości z Francji, Belgji i Holandji.

Włochy. „Lo Scout Italiano" donosi o dwu pięknych czynach skautów włoskich. Oto Urbano Capitanio z I. drużyny wilcząt w Murano, wyratował z narażeniem własnego życia tonące dziecko z kanału. Drugi — to 13 letni skaut wenecki Alfredo di Bello; zaryzykował on życie, skacząc do rzeki na pamoc innemu tonącemu chłopcu. Obaj otrzymali oznaki za ocalenie życia. Włoscy skauci mogą być dumni z takich braci!

Nowi członkowie organizacji skautowej. W ostatnich miesiącach zgłosiła się do Biura międzynarodowego w Londynie organizacja skautów bułgarskich, litewskich i panamskich, prosząc o przyjęcie do wszechświatowego związku skautowego.

Zlot Narodowy.

Znów miesiąc przeszedł! — Spieszę się z Wami podzielić szeregiem nowych wiadomości o Zlocie. A więc najpierw należy się Wam wymyślanie — dotąd jeszcze nie wszystkie komendy nadesłały zgłoszenia na Zlot — nie zdajecie sobie sprawy z tego jak strasznie tamuje to prace przygotowawcze. Cóż Wam mogę dziś powiedzieć nowego. A więc, co do terenu. Otoż obóz męski pomieszczony będzie według wszelkiego prawdopodobieństwa na polach, obok t. zw. Parku Praskiego, nad brzegiem Wisły. Miejsce to, jeśli chodzi o propagandę Harcerstwa, doskonale, każdy bowiem przechodzący przez most

będzie widział obóz i mimowoli nim się zainteresuje. Ale pomyślcie, jak to będzie pięknie (jeśli się oczywiście to uda, co projektuje komenda Zlotu). Dnia 3 lipca o oznaczonej godzinie zejdą się na miejscu obozu wszystkie drużyny, które już na zlot przybyły — przechodzący przez most będą widzieli, że na tych polach zrzadku drzewami porośniętych, niema żadnych domów ani też namiotu. Aż oto nagle zawrze praca. Tysiące rąk zacznie pracować nad stworzeniem obozu — miasto w ciągu kilku godzin. I ci, co rano będą widzieli puste pola, wieczorem zobaczą równo stojące namioty, setki ognisk obozowych, usłyszą gwar wielotysięcznej harcerskiej rzeszy. Wrażenie będzie imponujące — prawda. Ale żeby istotnie takiem ono było trzeba usilnej pracy przygotowawczej, aby czasami nie było tak, jak się to widzi niejednokrotnie na wycieczkach, że drużyna przez cały dzień nie może sobie poradzić z rozstawieniem jednego namiotu. Wykorzystajcie te ostatnie dwa miesiące które Was jeszcze dzielą od Zlotu — musicie pamiętać, że będzie na naszą pracę patrzeć cała Stolica! Komenda Zlotu zajmuje się obecnie opracowywaniem różnych udogodnień obozowych, chodzi jej bowiem o to, by możliwie udogodnić życie tego harcerskiego mrowia.

Nie pisałem Wam jeszcze o zawodach sportowych, na które powinniście zwrócić pilną uwagę (patrz W. U. No. 3 str. 10, 11). Zapowiedziane są zawody lekoatletyczne jednostkowe, pięciobój wojskowych, dalej zawody pływackie, gry i zabawy ruchome (szczyporniak, palant i inne). Do tych zawodów trzeba się też należycie przygotować. Zawody sportowe odbędą się w Agrykoli (największe boisko sportowe w Warszawie). Trzeba abyście się odpowiednio przygotowali, żeby czasami nie trzeba było zastosować do Was przysłowia: „A jeźli nie potrafisz — to nie pchaj się na afisz". Chcę Wam też zwrócić uwagę, że jak informuje Instrukcja Zlotowa l. 1. drużyny muszą przybyć na zlot w pełnem wyekwipowaniu, i na żadną pomoc w postaci namiotu czy narzędzi pionierskich liczyć z centrali n i e p o w i n n y. Muszę niestety już kończyć — jeszcze tylko jedną smutną nowinę muszę Wam zakomunikować. Oto Skaut Naczelny gen. Robert Baden-Powell nie może niestety przybyć na nasz Zlot, gdyż w tym samym czasie odbywać się będzie w Anglji Zlot wszechbrytyjski.

S. G.

Przegląd pism.

„Czuwaj", Nr. 2. Zbyt ciekawym nr. 2 tego pisma nie jest. Zdumienie wywołuje artykuł dyskusyjny pod tytułem „Nauczmy się politykować". Dosłownie tak czytelniku! Wam się zapewne zdawało, że polityka jest udziałem starszego pokolenia, a politykowanie do rzeczy potrzebnych wogóle nie należy. Otóż autor podjął się fatalnego zadania — dowieść, że tak nie jest, że politykować — zalecałoby się, lecz nie umiemy, politykujemy źle — a więc się uczmy! Co więcej — twórcy harcerstwa popełnili błąd, rugując politykę z programu wychowania harcerskiego! Oczywiście, trudno o bardziej „dyskusyny" artykuł: jeszcze tylko krok do dyskusji nad tem, czy Ameryka leży w Azji, czy w Australji, lub czy rybie futro należy do cennych.

W jednym z poprzednich nr. „Cz. D." zwracaliśmy uwagę na zbytnią krótkość artykułów, którą grzeszy niejedno pismo młodzieży; grzeszy nią i „Czuwaj", wypełniony raczej uwagami, niż artykułami, nie bez szkody dla swego oblicza (był on dotąd jednym z najlepszych pism harc.). Wyjątkiem są w numerze sprawozdawczym „Wspomnienia" (najwdzięczniejszy materjał, najlepszy bodaj w pismiennictwie młodzieży, dający wyniki), — napisane bardzo żywem językiem. Już pierwsze słowa „Baczność! W szeregach zbiórka!" stwarzają w czytelniku poczucie szybkiego tempa, werwy. Niema stylistycznych nadużyć; styl odpowiada pełnej życia treści. Tego rodzaju rzeczy nie prędko zaczynają nudzić, a są tem przyjemniejsze, że obecnie w pismach młodzieży znjdujemy tyle „Smutku", „Tęsknoty", księżyca, „Jesiennych nastrojów", poprzecinanych szpalerami wykrzykników, że niejeden sprawozdawca, brnąc przez nie, wyczerpany zasypia, lub traci przytomność, nie dokończywszy dzieła.

Weśmy np. Siedleckie **„Ku światłu"** (nr. 1); obok pełnego rozpaczy wiersza „Nastroje jesienne", — „Dzień tęsknoty":

„Na łąki dalekie, równiny, dzieżgane światłem konającem, na kraj senny, biały, uśpiony popłyniemy, Tęsknoto... W bezkresny lot uniosą nas skrzydła tęczowej niepamięci. Tam... w srebrnej dali śledzić będziemy, jak zwiewne marzenia stroją się w klejnoty różnofarbne, jak błądzą płonne porywy, jak smutek krąży, szemrząc zmęczonemi pióry..." Nieco dalej:

„Rozkołysany błogi rytm nieskończonych wędrówek..." albo „zwiewne, przejrzyste cienie nieukojonych pragnień..." lub „wszechwiedzący ból", uderzający „zygzakiem piorunu", „tęczowe majaki" i. t. d.

W tym samym numerze nieco dalej znajdujemy bajeczny artykulik „Co pisać", pióra redaktora, pełen humoru, dowcipu i przedewszystkiem bezlitosnej krytyki pod adresem tej właśnie ocukrzonej piany z przymiotników.

Niełatwem jest wogóle zadanie sprawozdawcy — wyszukać wśród istnej obfitości czasopism, jaką rozporządza — coś, wyrastające ponad miernotę, coś barwnego, mogącego zwrócić uwagę. Jeśli bowiem parę pism zaledwie daje na cały nr. więcej niż jeden artykuł godny drukowania, to niewiele i na ten jeden się zdobywa. Przeważnie mamy do czynienia z czemś, straszliwie przypominającem wypracowania szkolne, — nie bez przymusu pisma — na literackie, historyczne, etyczne tematy. A wszystko to jest tak do siebie podobne, że gdyby pewnego dnia pisma pozamieniały się nazwami, niktby, zapewne, tego nie zauważył. Żaden też autor nie chce zająć się częścią jakiegoś zagadnienia, co jest jedynem wyjściem dla początkujących publicystów, historyków lub literatów, a zawsze daje całokształt; pozbawia to najpierw utwór oryginalności, śladów samodzielnej pracy, a mikroskopijne rozmiary, jakie się zwykle art. nadaje, szkodzą w znacznym stopniu ich powadze. Przykładem chociażby art. „Sztuka a rzeczywistość", w Krasnystawskim **„Nad poziomy"** (Nr. 1), którego temat a rozmiary są rażąco nieproporcjonalne. W rezultacie, oczywiście, nic, prócz powierzchowności w tłomaczeniu, dlaczego się różnią fotografja a obraz, manekin a rzeźba. Gdyby autor, licząc się z udzielonym mu miejscem podał tylko fakty, lub stosunki, pozostawiając rozmyślanie nad niemi czytelnikowi, bez filozoficznego sosu, ten sam art. z pewnością byłby wygrał.

Zupełnie inaczej się czyta w temże piśmie umieszczony przegląd pism młodzieży z punktu widzenia haseł, przez nie głoszonych („Hasła"). Próbka klasyfikacji ta choć wielkiego znaczenia nie posiada, jest jednak próbką samodzielną, krokiem, którego jeszcze kto inny nie zrobił. To właśnie droga jedyna dla wszystkich, chcących się przyczynić do podniesienia wartości naszej literatury młodzieńczej — więcej własnych rozmyślań i przeżyć!

Ogólne wrażenie „Nad poziomy" — nie wyżej średniego, co trochę nie harmonizuje z pretensjami pisma, uważającego siebie za spadkobiorcę po Promienistych.

Na znacznie wyższym poziomie stoją dwa pisma, przeznaczone dla młodzieży wiejskiej **„Drużyna"** i **„Siew"**, dając sympatycznie opracowany i dobrany materjał samokrztalceniowy, oraz dużo wiadomości praktycznych. Bardzo cenną cechą obu jest również wyraźna tendencja pokojowa pod względem politycznym — dążenie do łagodzenia umysłów — rzecz, którą obecnie więcej, niż kiedykolwiek trzeba cenić i popierać. Właściwie, pisma te są pismami dla młodzieży, z przeważającym udziałem starszego pokolenia, czemu też prawdopodobnie ich wysoki stosunkowo poziom zawdzięczamy.

Mamy też i okazy literatury zlotowej! Otóż referent zlotowy przy 19-tej dr-nie Warszawskiej im. Narbutta — wydaje specjalne pisemko informacyjne „Dziewiętnastka na Zlot", zawierające wszelkie wiadomości o Zlocie, odnośne rozkazy Naczelnictwa, spisy i szczegóły konkursów, jakie są na Zlot zaprojektowane i t. d. Wydawnictwo podobne jest niewątpliwie rzeczą bardzo pożyteczną.

Kronika Sportowa.

Harcerskie Zawody Bokserskie.

Dnia 12 bm. odbył się staraniem V-tej Drużyny Harcerskiej im. Ks. Józefa Poniatowskiego „II Harcerski Match Bokserski" pod protektoratem dh. podharcm. ppułk. Wal. Sikorskiego w sali „Ogrodu Zoologicznego" w Poznaniu.

Na samym początku wygłosił p. kap. Baran przedmowę na temat historji boksingu, poczem rozpoczęły się walki. Pierwsza para Kuczkowski—Walkowiak, obaj z Klubu Sport. „Zbyszko". Zobrazowali walkę pokazową. Walczą teraz Kleminski XVII Druż. Harc. Poznań (52½) i Siewert V Druż. Harc. Poznań (52).

archiwum

Walka nierozstrzygnięta, Klemiński wykazywał dość dobrą technikę. Obrona Siewerta była dobra, tak, że całość walki przedstawiała się interesująco. Huragan oklasków wita wejście Snopka, Hufiec Inowrocław. (61). Walczy z nim Dolniak V-ta Druż. Harc. Poznań (59½). Już w pierwszej rondzie sędziowie walkę przerywają z powodu 3 krotnego faul Snopka. Zostaje zdyskwalifikowany. Zwycięzca jest Dolniak, który już swą drugą walkę publiczną „faulami" swych przeciwników wygrywa. Snopek jak i Dolniak przedstawiają dobry materjał na bokserów. Spotkają się oni ponownie na zawodach o mistrzostwo Polski, które odbędą się niebawem w Warszawie. Wchodzą teraz przez liny Dworzański XVII D. H. Poznań (57) i Weinert V D. H. Poznań (58). Walka odbywa się w bardzo ostrem tempie. W drugiej rondzie Dworzański przychodzi do „2" na ziemię; przez ostatnie dwie rondy prowadzi Weinert, który w czwartej rondzie zwycięża na punkty. Obydwaj wykazywali dobry trening. Piąta para Rogowski Hufiec Harc. Inowrocław (54) contra Nobik V Druż. Harc. K. S. H. Poznań (54) Walka ładna, w której techniczną przewagę ma Rogowski. Silne ciosy Rogowskiego nie pozwalają Nobikowi na skuteczniejszą obronę, to też zostaje pierwszy w trzeciej rondzie zwycięzcą. Zaznaczyć wypada, że Nobik, który był do niedawna dobrym bokserem, zmienił się na swoją niekorzyść. Jako 6-ta para wchodzą na arenę Nadolski — Hufiec Gniezno (64) oraz Tylewski II Druż. Harc. Poznań (66). U obydwóch widać nieumiejętność prowadzenia walki, z powodu tego sędziowie byli zniewoleni w 3 rondzie walkę przerwać. Ostatnia para Opiński — Huf. Harc. Bydgoszcz (67) oraz Walczak — Huf. Harc. Gniezno (64) nie pokazują nic nadzwyczajnego. Przewagę ma Opiński, lecz w obydwóch widać brak treningu, walka zostaje w 2 rondzie przerwaną. Sędziowali w arenie p. Brencz, na punkty, dh. podharm. Miecz. Wasilewski i pp. por. Miller oraz Janusz. (*n.*)

Ciąg dalszy kroniki sportowej w następnym numerze.

Od Redakcji.

Dnia 22 kwietnia b. r. odbył się w kościele N. P. Marji w Poznaniu ślub Druha d-ra. Stefana Papée z p. Załuską.

W imieniu Czytelników oraz Współpracowników „Czuj Ducha" składamy młodej parze staropolskie „Szczęść Boże" co niechaj będzie wyrazem uczuć wdzięczności jakie żywimy dla naszego Redaktora za Jego owocną pracę około pisma.

Nadesłane.

Wspomnienie pośmiertne. Łódź harcerska w dniu 14. IV. 24· oddała ostatnią przysługę zwłokom nieodziałowanego i niestrudzonego działadza na niwie pracy harcerskiej **ś. p. Bolesława Tadeusza Wocalewskiego.** — W zmarłym straciło harcerstwo drogiego przyjaciela, który od całego szeregu lat z głębokiem zrozumieniem i serdecznem, prawdziwie ojcowskiem ukochaniem, gorąco interesował się rozwojem harcerstwa, nieszczędząc swych nieocenionych rad i wskazówek oraz wydatnej pomocy materjalnej.

Pamięć o Nim wiecznie pozostanie w szeregach młodzieży harcerskiej!

Doroczny Zjazd Delegatów Kół Młodzieży Wiejskiej. Od r. 1919 rozpoczynając, corocznie w m. czerwcu odbywały się w Warszawie Zjazdy delegatów Kół Młodzieży Wiejskiej (Warszawa, Tamka 1). W r. b. władze Związku uchwaliły zwoływać Zjazdy swe doroczne w różnych miejscowościach kraju, wobec czego Zjazd tegoroczny nie odbędzie się w Warszawie, lecz w Lublinie, w drugiej połowie czerwca.

Pokaz Prac Kół Młodzieży Wiejskiej. Podczas Zjazdu Walnego delegatów Kół z terenów Rzeczypospolitej, który się odbędzie w dniu 22 i 23 czerwca r. b. w Lublinie, będzie urządzony pokaz prac Kół Młodzieży Wiejskiej, na który się złożą różne okazy, tablice i wykresy, z prac oświatowych kulturalnych, gospodarczych i zdrowotnych.

— **Druh Henryk Misiak** z Śremu ul. Poznańska 72, uprasza czytelników „Czuj Ducha" o nawiązanie z nim korespondencji.

Odpowiedzi.

— **Ciotka z Polesia Prużany.** Wiersz nie na czasie. Dziękujemy, niekorzystamy, prosimy o dalsze.

— **Harcomir ze Stopnicy.** Nie tak źle! Do wzgardzenia daleko. To „radzimy", niechaj Wam tkwi dalej w sercu. Jak zobaczycie (po przeczytaniu nru VI) rada przydała się. Wiecie ów „Lot Orlęcia", gdybybył zadedykowany dla „Czuj Ducha", byłby może lepszy. Nadaje się dla „Zosi", która może podziwiać bohatera utworu. Sypnijcie coś nowego, byle coś dobrego.

Druh Podczaski z Kutna. Adres dha Stef. Łosia Warszawa, Leszczyńska 10 m. 7.

— **Rozwiązanie „krzyża harcerskiego".** Za rozwiązanie „krzyża harcerskiego", zamieszczonego w nr. II. r. b. otrzymał nagrodę w postaci książki p. t. „Młody konstruktor maszyn" wylosowaną w dniu 7. V., druh P i g u ł o w s k i z Warszawy

PRENUMERATA kwartalnie z przesyłką pocztową 1,10 zł. bez przesyłki 1 zł. Numer pojedyńczy 0,35 zł. Ceny ustalamy 2 razy miesięcznie.

WPŁATY uskuteczniać można wprost w Administracji, lub na konto czekowe P. K. O. Nr. 203662.

Adres Redakcji i Administracji: Poznań, Zamek.

Kierownik Redakcji: Dr. Stefan Papée. Redaktor odpowiedzialny: Stefan Adam Schmidt. Wydawca: Zarząd Oddziału Wielkop. Zw. Harc. Polsk. w osobie: Zbigniewa Kowalewskiego. Czcionkami Drukarni Uniwersytetu Poznańskiego.

GEBETHNER i WOLFF KSIĘGARNIA i SKŁAD NUT W POZNANIU UL. FR. RATAJCZAKA 36

Amicis E. Serce. przekład M. Konopnickiej	Karton 4.40	styczna z 15 ilustracjami W. Szyndlera.	Karton 5,—
Anczyc Wł. L. Przygody prawdziwe żeglarzy i podróżników.	Karton 5,—	Sienkiewicz, H. Ogniem i mieczem.	8,—
— Robinzon Kruzoe	Karton 4,40	— Potop.	13.40
Barszczewski St. W osiem dni dokoła świata	5,—	— Pan Wołodyjowski	5,40
Chodźko Ignacy. Pamiętnik Kwestarza. Wydanie skrócone w pracowaniu J. Grabowskiego. Z ilustracjami E. M. Andriollego. Broszurowane 6,50.	Karton 8,—	całość w ozdobnej oprawie	39.—
Gomulicki Wiktor. Wspomnienia niebieskiego mundurka. Wydanie 4-te. Z 6 ilustr. K. Górskiego.	Karton 6,—	— W pustyni i w puszczy	6,—
Janowski Al. Maciuś Pędrak wśród Indjan	Kart. 6.—	Umiński Władysław. Balonem do bieguna. Przygody z podróży powietrznej ponad lodami. Z 6 ilustracjami W. Szyndlera. Wydanie 3-e zmienione.	Karton 5.50
Mossoczowa Michalina. Za tysiąc lat. (Z marzeń młodego idealisty). Powieść fanta-		— Na falach Atlantyku. Przygody rozbitków pośród oceanu z 5 ilustracjami. E, Bartłomiejczyka. Wydanie 2-e	Karton 4.50
		— Od Warszawy do Ojcowa. Przygody w podróży po kraju. Z 11 ilustracjami Z. Grabowskiego. Wydanie 3-e popraw.	
		przez autora	Karton 6,50
		Umiński W. Na drugą planetę	„ 4,20
		„ „ Synowie puszczy	„ 3,75
		„ „ W podobłocznych Krainach	„ 5,80
		„ „ W puszczach Kanady	„ 4,20
		„ „ Znojny chleb	„ 5,—
		„ „ Zwycięzcy oceanu	„ 5,80
		Verne J. 20,000 mil podmorskiej żeglugi	„ 5,—
		„ „ Dzieci Kapitana Granta	„ 5,60
		„ „ Wyspa tajemnicza	„ 5,—
		„ „ Skarby Wulkanu	„ 6,50
		„ „ W pogoni za meteorem	„ 3,60
		Włodkówna Bronisława. Przeciw złej doli. Opowiadanie dla młodzieży. Z 4 ilustr. Z. Błeszyńskiej. Brosz. 1.50	Karton 2.50
		Zaleska M. J. Młody wygnaniec	„ 4,20

Ceny zasadnicze. Obowiązuje bieżący mnożnik. Do cen katalogowych dolicza się 20% dodatku sortymentowego.

archiwum